

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jachtem coś gwałtownie wstrząsnęło. Jackson Dunlap nie zdążył złapać kubka z kawą, który zjechał ze stolika w kokpicie wprost na jego kolana. Jack poderwał się, klnąc, i oblanym kawą, ruszył biegiem po trapie na pokład.

Od dawna nie zdarzyła mu się taka przygoda, a już prawie rok pływał samotnie wzdłuż brzegów Florydy. Pływał samotnie, bo tak sobie postanowił. Nareszcie żadnych telefonów, interesów, kontrahentów. Z rzadka tylko zawijał do portów, by uzupełnić zapasy, ewentualnie by przeczekać sztorm. Wybierał przy tym małe porty.

Ośłonił oczy przed jaskrawym, czerwcowym słońcem. Przypuszczał, że może staranował go jakiś pijany żeglarz. Albo też w pobliżu wieloryby urządziły sobie gody? Natomiast nie spodziewał się absolutnie, że w odległości kilkudziesięciu metrów ujrzy osiadający właśnie na falach balon, w szachownicowy, żółto-purpurowy wzór.

Wychylił się za reling. Dostrzegł, że z kosza balonu ktoś rozpaczliwie macha rękami w jego stronę. Po chwili gondola przechyliła się i ów ktoś wypadł do morza.

Jack rzucił się gwałtownie na rufę i chwycił koło ratunkowe. Zamachnął się i cisnął nim w stronę rozbitka.

- Trzymaj! - krzyknął. - Ja cię przyholuję!

Biedny aeronauta zatrzepotał ramionami. Chyba jednak sprzyjał mu prąd, bo w niewiele chwil dotarł do koła. Jack zaczął ciągnąć linkę. Po paru sekundach zdał sobie sprawę, że ten ktoś nie jest nim, tylko nią. Dokładnie jest blondynką, w żółtej koszulce z krótkimi rękawami i chyba w białych szortach.

Cóż ta nieszczęsna kobieta robi tak daleko od lądu?

Kiedy znalazła się przy burcie, wychylił się i chwycił ją pod ramię. Pomógł jej się dostać na pokład. Po czym, wiedziony szczególnym impulsem opiekuńczym, wziął dziewczynę na ręce i ruszył ze swym ciężarem w stronę kokpitu.

- Chwileczkę, nic mi nie jest - zaoponowała ofiara.

- Mogę iść sama.

Jack zmieszał się.

- Przepraszam - powiedział. - Na pewno nic pani nie jest? -i postawił blondynkę na deskach tak ostrożnie, jakby była zrobiona z kruchej pianki.

- Jeśli dziecku nic się nie stało - zamruczała - to i ze mną wszystko dobrze.

Dziecko? Powiedziała „dziecko“?! Jack poczuł się na nowo zmobilizowany.

- W koszu jest dziecko?! - zawołał.

Uśmiechnęła się, mrużąc zielonkawe oczy.

- Tutaj, w tym koszyku - położyła ręce na swoim brzuchu.

- Ach tak - uśmiechnął się, nagle odprężony. - Jest pani w ciąży...

- Zgadł pan.

Jeszcze raz zerknął na jej brzuch. Na razie wydawał się on raczej płaski. Był nawet na pewno płaski. Lecz mimo to...

- I w stanie odmiennym zaryzykowała pani lot balonem?

Wzruszyła ramionami.

- A dlaczego nie? W końcu transport lotniczy, jak pan zapewne wie, należy do najbezpieczniejszych w świecie. O wiele mniej bezpiecznie jest wsiąść do samochodu niż do balonu.

Zrobił sceptyczną minę.

- Czy ja wiem.

- Niestety miałam pecha - podjęła dziewczyna. - Mnie jedną wywiało z Miami aż tutaj. Bo brałam udział w zawodach balonowych... I teraz właściwie w ogóle nie mam pojęcia, gdzie jestem.

- Jest pani około dwudziestu mil na wschód od Key Largo - powiedział Jack.

- Aha... Jakieś trzy godziny temu straciłam kontakt z resztą kolegów. Potem zaczęłam tracić wysokość... Całe szczęście - przegarnęła w tył mokre włosy - że zobaczyłam pański jacht.

- Coś we mnie łupnęło. - Jack odchrząknął. - Sie-
działem właśnie pod pokładem i...

- Bardzo przepraszam - uśmiechnęła się dziewczyna. - Ale niosło mnie dokładnie na pański maszt. I być może zawadziłam koszem.

Jack spojrział ku górze. Na oko grot, wanty i sztagi wydawały się nienaruszone. Ale kto wie, jak jest jednak naprawdę?

- A co będzie z pani balonem? - zapytał. - Jego szczątki nie zmieszczą się niestety na tej łódce.

Blondynka westchnęła. Podeszli oboje do relingu. Sflaczały aerostat mijał ich właśnie, popychany wiatrem, w odległości paru kroków.

- Miała pani w koszu coś cennego?

- Właściwie nie... Ale sam balon był dla mnie ważny. Było to do pewnego stopnia moje narzędzie pracy.

Przyjrzał jej się, zaintrygowany.

- Współczuję - powiedział. I pomyślał, że mógłby jej kupić pięćdziesiąt takich balonów, gdyby go kiedyś poprosiła. Oczywiście jest to pomysł teoretyczny, a przynajmniej z grubym wyprzedzeniem, bo na razie nie zdążyli się sobie nawet przedstawić.

Jack zauważył, że blondynka lekko drży. No tak, stoi tu mokra od kwadransa, a dzień wcale nie jest upalny.

- Zapraszam do kokpitu - wskazał ręką. - Musi się pani wytrzeć i w coś tam przebrać. Mam trochę zapasowej garderoby.

- Bardzo panu dziękuję - dziewczyna ruszyła w stronę trapu.

- Aha - powiedział Jack. - W sterówce jest krótkofalówka. Możemy się porozumieć z pani mężem.

- Z mężem? - Lizzie przystanęła. - Nie mam żadnego męża.

Jack zmarszczył czoło i zerknął na brzuch kobiety.

- No to z przyjacielem.

- Akurat też żadnego nie mam - odpowiedziała.

Ruszyli schodkami na dół.

- W takim razie w grę wchodzi niepokalane poczęcie?

Blondynka roześmiała się.

- Pyta pan o ojca dziecka? Historia jest tutaj bardziej skomplikowana... Na razie musi to panu wystarczyć.

Wzruszył ramionami.

- W porządku, nie jestem wścibski. Ale chyba powinniśmy kogoś zawiadomić, a potem gdzieś panią odtransportować, panno...

- O przepraszam, nie przedstawiłam się. Elizabeth Matheson - wyciągnęła dłoń.

Uścisnął rękę.

- Ja jestem Jackson Dunlap. W skrócie Jack.

- Jack? W porządku. W takim razie ja jestem Lizzie...

Jack rozejrzał się.

- No dobrze - powiedział. - Zaraz dam ci coś suchego, Lizzie. Przebrać możesz się w łazience - pokazał głową. - Jest tam. Trochę ciasna, ale... własna.

Ruszyła ku wskazanym drzwiczkom i zajrzała do środka.

- Ciasna? - obróciła głowę. - Ja u siebie na łodzi mam chyba mniejszą... I w ogóle wielka ta łódź - poruszyła brwiami. - Sam jeden ją prowadzisz?

- Zawsze sam - potwierdził. - Lubię być sam.

- No, no...

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, do Jacka po raz pierwszy dotarło, że rozmawiał z naprawdę ładną kobietą. Miss

mokrego podkoszulka, można by rzec... Ale co z tego, zaraz zapytał sam siebie. Nie po to ruszał na morskie pustkowie, żeby tu spotykać jakieś nimfy, zwłaszcza spadające prosto z nieba. On, Jackson Carter Dunlap, magnat hotelowy, milioner i w ogóle self-made-man, naprawdę potrzebował w tych dniach i miesiącach nade wszystko samotności. I oby mógł ją teraz odzyskać, jak najprędzej! Warto by tę Lizzie jeszcze dziś odstawić na brzeg, pomyślał.

Lizzie zmywała z siebie sól morską w zgrabnej wannie i zastanawiała się, kim może być kapitan jachtu. W każdym razie wydawał się interesującym mężczyzną. Był grzeczny, opiekuńczy, a i wystarczająco przy stojny. Wysoki, wąski w biodrach, szeroki w ramionach. Opalony, jak zauważyła, może nawet zbyt opalony. Czyżby nic nie słyszał o słynnej dziurze ozonowej? Nadmiar słońca nie służy skórze... Był brunetem, o nieco spłowiałych koniuszkach włosów. Miał szare oczy, prosty nos i w ogóle regularne rysy.

Lizzie znała wielu mężczyzn, w końcu obracała się wśród aeronautów, gdzie kobiety trafiały się raczej rzadko. Znała wielu, ale inna sprawa, że niewielu bliżej. Sport sprzyja raczej koleżeństwu niż romansom; znana to rzecz. Ostatnio w ogóle była sama: tak to się jakoś w życiu ułożyło. No a teraz jest gościem u tego... Jacka Dunlapa. Całkiem obiecującego gospodarza... I co za szczęście, że ją wyratował.

Uśmiechnęła się, kładąc rękę na brzuchu.

- Widzisz, Hank, maluchu - zamruczała. - Mamusi

znowu się udało. Ale na przyszłość będę ostrożniejsza, przyrzekam. W najbliższym czasie - żadnych rejsów balonem. Tylko zwyczajne spacerki, po ziemi. O ile przedtem dotrzemy bezpiecznie na ląd, rzecz jasna.

Pomyślała, że łatwo jej będzie dotrzymać tych przyrzeczeń w sytuacji, gdy utraciła swój statek powietrzny... Na nowy długo sobie nie zarobi, bo czym? Firma ubezpieczająca coś tam jej zapłaci, ale nie będzie tego wiele. A pieniędzy, które zostały po rodzicach, przecież nie naruszy, bo są przeznaczone dla dziecka.

Pomysłem dorabiania sobie sportem balonowym zaraził ją Hank Matheson, jej ukochany ojciec. Ojciec sam ją wychowywał, ponieważ matka umarła, kiedy Lizzie była malutką. Hank Matheson nauczył ją wielu rzeczy, przede wszystkim tego, że trzeba mieć w życiu pasję. I że człowiek jest na ogół kowalem swego losu.

Zaczęła się bawić łańcuszkiem na szyi. Obróciła go i spojrzała na medalik ze świętym Krzysztofem - niegdyś własność ojca. Drugim wisiorkiem było serduszko, które Hank ofiarował jej matce w pierwszą rocznicę ślubu. Wierzyła, że te talizmany naprawdę ją chronią. Święty Krzysztof jest patronem żeglarzy, również tych powietrznych, no a serduszko - wiadomo. Symbol miłości. Lizzie, choć chwilowo bez mężczyzny, miała kogo kochać: już teraz uwielbiała swoje maleństwo.

Z zamyślenia wyrwały ją odgłosy jakby szarpaniny na pokładzie. Potem Jack, bo któżby inny, zaklął, a następnie zadudniły jego kroki na schodkach. I zaraz zapukał do drzwi łazienki, po czym, nie czekając, nacisnął klamkę. Lizzie skuliła się, spłoszona. Okrywała ją tylko

woda, bez filmowych pian, bo mężczyźni przecież nie dbają w swych łazienkach o płyny do kąpieli. I tak do-
brze, że ta woda jest słodka.

- Przyniosłem ci rzeczy - powiedział Jack i przy-
siadł na przyśrubowanej do podłogi szafce, jakby nie
zauważając całej dwuznaczności sytuacji.

Oślaniając ramionami biust i podciągając kolana,
usiadła w wodzie. I spróbowała być miła.

- Dziękuję ci, Jack... Świetna jest ta twoja wanna
- zatoczyła głowę.

- Uhm. Widzę. I pełna wody.

- Pełna wody? - Lizzie zamrugała oczami. - No tak
- zgodziła się. - Ale co ma być w wannie, jak nie wo-
da?

Dunlap skrzywił się.

- Ale to jest słodka woda, którą ty szastasz. A ja nie
przepadam za uzupełnianiem jakichkolwiek zapasów na
ładzie.

- Aa... Bardzo przepraszam. - Lizzie pomyślała, że
ten Jack wcale nie jest aż tak bez zarzutu, jak się z po-
czątku wydawał.

Chwilę milczeli oboje.

- Czy pozwolisz, że się ubiorę? - zapytała.

- Proszę bardzo - odrzekł.

- No to może byś na chwilę wyszedł?

Wzruszył ramionami.

- Sporo nagich kobiet widziałem w życiu.

- Ale mnie nagiej nie widziałeś.

- I teraz nie widzę - odwrócił głowę. - Bo wcale nie
patrzę.

- Jack, bądź dżentelmenem...

- Zły jestem - przerwał jej. - Zakleszczył mi się szot grota. Maszt wytrzymał twoją inwazję, ale bloczek przestał działać i nie wciągniemy żagla. No i trzeba będzie popłynąć na samym kliwrze*... Nie wiem, kiedy dotrzemy do lądu.

- To może byś wezwał straż przybrzeżną? Oni pomogą.

- Niekoniecznie.

- Dlaczego nie?

- Urwałaś mi przy okazji antenkę na topie i radiotelefon ma teraz za mały zasięg. Więc nie wezwę straży.

- O do licha... No ale czekaj, łódź ma chyba jakiś silnik?

Zerknął w jej stronę.

- Owszem, ma, ale...

- Ale co?

- Kolejny pech. Śruba się nie obraca, bo prawdopodobnie. - posłał jej rozżalone spojrzenie.

- Co, znów moja wina?...

- Wkręciło się w nią coś z twego balonu. Chyba wtedy, kiedy nas mijał.

- Cholera - nachmurzyła się Lizzie.

- No właśnie. Tak, że widzisz, droga nimfo, mamy nagle porządne kłopoty.

Nimfo...? Co też mu przyszło do głowy. Nigdy w życiu nikt jej nie nazwał „nimfą”. Postanowiła zaprotestować. Podniosła się, ociekając wodą.

- Jeśli ja jestem nimfą, to ty jesteś Ahab.

Nie odwrócił teraz oczu, gdzież tam. Dokładnie obejrzał sobie tę dziewczynę od stóp do głów.

- Dlaczego Ahab*? Nazwałem cię nimfą, a nie wielorybem.

Zastanowiła się.

- Niby racja. A jednak masz w sobie coś z Ahaba... Mógłbyś mi dać coś do wytarcia?

Jack, ociągając się, wstał z szafki, otworzył ją i wyjął czysty ręcznik. Jeszcze raz uważnie przypatrzył się Lizzie. Potem podał jej ręcznik i powoli wyszedł z łazienki.

Kapitan Ahab - bohater powieści *Moby Dick* Hermana MeMue'a, osnutej wokół obsesyjnej walki człowieka ze sprytnym białym wielorybem. (Przyp. tłum.)

ROZDZIAŁ DRUGI

Lizzie musiała zrezygnować z szortów Jacka, bo zjeżdżały jej z bioder. Włożyła więc tylko bawełnianą koszulkę, która sięgnęła jej prawie do kolan, niczym sukienka. Dokładnie wytarła sobie włosy, a potem zrobiła z ręcznika turban.

Zajrzała do lustra. Właściwie rozumiem tego Ahaba, pomyślała. Popsułam mu jego piękny statek, wdarłam się w jego życie. Ma prawo czuć się rozżalony. A jednak mógłby się zdobyć na odrobinę wyrozumiałości, w końcu przydarzył mi się nieszczęśliwy wypadek.

Wyszła z łazienki i rozejrzała się po kokpicie. Naprawdę eleganckie miejsce, pokiwała głową. Urządzenia kuchenne, stół, ława: wszystko tu jest bardzo eleganckie. A gdzież sam gospodarz...? Pewnie na górze. Chodźmy więc na górę.

Na pokładzie zobaczyła Dunlapa, jak zmierza na rufę z czymś połyskliwym w dłoni.

Rewolwer? Jezus, Maria, dlaczego! Chyba nie terroryzuje jej tą bronią? A może będzie walczył z jakimś wielorybem? Jak Ahab? Albo chce coś upolować na kolację? Na kolację... Lizzie poczuła nagle głód. No tak, od rana nic niejadła.

Gruchnęło kilka strzałów.

Odruchowo się skuliła.

- Jack, co się dzieje? - zawołała.

Obejrzał się.

- Nic takiego. Musiałem tylko odstrzelić twój kosz.

- Mój kosz?!

- To właśnie jego linki wplątały nam się w śrubę.

- Nie do wiary... Cały czas włókł się za nami? A co z resztą balonu?

- Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami Dunlap. Zerknął za burtę. - O, tonie.

- Kosz tonie?

- Właśnie.

- Szkoda - westchnęła.

- Nie było innego wyjścia.

- Na pewno nie było?

- Cóż ty mnie tak podpytujesz, Dorotko? Tu nie Kraina Oz, czarami nic się nie działa.

„Dorotka”... Przedtem „nimfa”... Ten facet ma szczególny talent, pomyślała Lizzie. Albo i potrzebę. Najwyraźniej lubi bajki i mity. Ale to dobrze, bo ja też lubię.

- Trochę się przestraszyłam, jak cię zobaczyłam z tym pistoletem w garści - powiedziała.

Przełożył rewolwer z ręki do ręki.

- Przestraszyłaś się? Dlaczego?

- E, nic takiego. Kobiety myślą częściowo nielogicznie.

Uśmiechnął się. Dmuchnął w lufę.

- Nielogicznie... W każdym razie w pistolecie nie ma już kul. Wystrzelałem wszystkie i nie mam więcej.

Lizzie westchnęła.

- Biedna Bessie...

- Bessie? O kim ty mówisz?

- O moim balonie. Właściwie balonicy. Miała na imię „Bessie”.

Jack znowu się uśmiechnął.

- Masz fantazję, Dorotko.

- Ty też masz, Ahabie... A w ogóle, może byś się zdecydował: jestem nimfą czy Dorotką... ?

Jack oparł się o reling.

- A dlaczego nie'jedno i drugie?

Nie odpowiedziała... Nagle dotarło do niej, jaka cisza jest w powietrzu. Po tych wystrzałach - a także z przyczyny flauty*. Kliwer na dziobie zwiślał bezwładnie.

- Czy ty wiesz, że w koszu były butle z propanem?
- zapytała.

- Butle? No to co?

- Gdybyś w którąś trafił, wylecielibyśmy w powietrze.

- O, do licha! Nie pomyślałem o tym.

- Mieliliśmy szczęście - pokiwała głową. - Ty, ja, no i mały Hank.

- Hank? Kto" to jest Hank?

- Jest tutaj - pokazała na swój pępek.

- Aa... Ale dlaczego właśnie Hank?*

- Bo tak miał na imię mój ojciec. Umarł prawie dwa

* I lania - pogoda bezwietrzna. (Przyp. tłum.)

**Hank (ang.) - „kłębek", albo „strzemię linowe". (Przyp. tłum.)

lata temu. Był najsilniejszym, najbardziej opiekuńczym człowiekiem na świecie, jakiego znałam.

Jack zrobił współczującą minę.

- Rozumiem... A skąd ty masz pewność, Lizzie, że urodzi ci się właśnie chłopiec?

- Pewności nie mam. Ale chciałabym, żeby tak było. Zawsze lepiej dogadywałam się z mężczyznami niż z kobietami.

Skinał głową.

- Uhm... No, to się nawet dobrze składa. - Schował rewolwer do kieszeni. - Bo ja też chyba jestem właśnie mężczyzną, a tobie wypadnie dość długo wytrzymywać w moim towarzystwie.

- Długo? Dlaczego długo?

- Bo utkwiliśmy tu na morzu. Wiatru nie ma, silnik nie działa. Zostaliśmy sami na tym oceanie, dziecinko. Całkiem sami.

„Nimfa”, „Dorotka”, w końcu „dziecinka”... Z jakiej bajki ta „dziecinka”?

- Nie jestem żadną „dziecinką” - pokręciła głową. - Słuchaj, Jack - zrobiła poważną minę. - Czy naprawdę nikt nie wie, gdzie pływasz, nie zna pozycji tej łodzi?

- Nikt nie zna. Od miesięcy żegluję incognito... Prawie od roku. Rzadko zawijam do portów.

Od roku. A więc ten mężczyzna od roku nie miał też chyba kobiety... ? Lizzie zerknęła w stronę Jacka. Dziwnie, bardzo dziwnie ją ten domysł podniecił. I nagle zdała sobie sprawę z tego, że jest całkiem naga pod cienką koszulką. No, jeśli nie doliczać turbanu z ręcz-

nika na głowie. Sięgnęła ku zawojowi, rozplatając go powoli.

- Mam nadzieję - westchnęła - że może przynajmniej ktoś mnie szuka... Na przykład Walker.

- Walker? Tylko nie mów, że tak się nazywa twój samochód.

- Ha, ha, bardzo śmieszne. Walker to szef naszej drużyny balonowej.

W oczach Jacka zabłysła nadzieja.

- Myślisz, że mógłby zauważyć, jak zdryfowałaś?

- Na pewno zauważył. Gdybyśmy mieli radio, złałibyśmy teraz jego częstotliwość.

- Ale nie mamy... - Jack spojrzał w górę, ku maszowi, gdzie jeszcze niedawno tkwiła antenka. - I co nam pozostaje? Zrób jakieś czary, Dorotko.

- Po co czary? - poruszyła brwiami. - W końcu kiedyś dopłyniemy do lądu. W nocy na pewno będzie wiatr.

- W nocy! Wiatr! Oby nie coś gorszego... Bo tak się składa, że w południe wysłuchałem prognozy i wynikało z niej, że w tym rejonie przewidywany jest huragan... Zamierzałem właśnie płynąć do brzegu, kiedy...

- ...Kiedy ja ci spadłam z nieba i przeszkodziłam. Tak?

Uśmiechnął się.

- Można by tak to ująć.

Lizzie nie przejęła się specjalnie tą wiadomością. Mieszkając od lat w Ohio, była przyzwyczajona do burz i huraganów. Nauczyła się nie bać gniewu żywiołów. Wiedziała, że groźniejszy bywa gniew ludzi... A teraz

było jej przyjemnie, że Jack się uśmiecha, że umie się uśmiechać. Naprawdę przestraszył ją trochę tym rewolwerem. I w ogóle było w nim chwilami coś niepokojącego. A zarazem... ekscytującego? Otóż to, mężczyzna ten intrygował ją i pociągał.

Ale może lepiej, żeby się sam tego nie domyślił?... Spuściła oczy. Potem odwróciła głowę... Morze było całkiem lustrzane. Nad nim niebo było jak drugie lustro, bez jednej chmurki. Słońce powoli zniżyło się ku horyzontowi. I w tej oto spokojnej scenerii, za kilka godzin, miałyby się rozszaleć tornado?

On jakby usłyszał tę ostatnią myśl.

- Teraz jest ładnie, ale za parę godzin możemy tu mieć piekło.

- Jack, nie strasz. Ja nie jestem strachliwa, nie jestem zwierzątkiem kanapowym. Sporo się w życiu nażeglowałam, przy różnych pogodach. Co prawda raczej powietrzem niż wodą.

- Rozumiem, rozumiem... No, dobrze - spojrzaj na zegarek. - Wobec tego zmieńmy temat. Pora na kolację! Zapraszam.

Lizzie rozpromieniła się.

- Nareszcie! Dobrze, że o tym pomyślałeś. Od rana nic nie jadłam.

- Ja też. Jestem głodny jak wilk.

- Jak wilk morski czy wilk z bajki o Czerwonym Kapturku?

- A jak byś wolała, Czerwony Kapturku?

Lizzie zaśmiała się i nic nie odpowiedziała. Ruszyła w stronę schodków wiodących do kokpitu.

Jack odczuwał wiele odmian głodu naraz. Patrzył na Lizzie buszującą po szafkach i oczywiście miałby ochotę schrupać ją w całości. Śliczna ta dziewczyna! I śmiała. Zarazem odesłałby ją natychmiast, gdyby mógł, na ład, bo wciąż odczuwał potrzebę samotności. A odesłałby tym bardziej, że była przecież w ciąży. Nie było w jego stylu nastawać na cześć kobiet w odmiennym stanie.

- Nie masz tu nic poza puszkowanym mięsem? - odezwała się Lizzie.

- A co jest złego w puszkowanym mięsie?

- .Żadnych warzyw, sałatek?

- Coś tam było, ale chyba się skończyło.

Zagryzła dolną wargę.

- To niedobrze. Bo ja jestem właściwie wegetarianką. Choć od czasu do czasu jadam też drób. Ale głównie żywię się roślinami.

Jack skrzywił się.

- To chyba skoczysz za burtę i wyłowisz sobie jakieś glony.

Spojrzała w sufit, przewracając oczami.

- Aleś ty dowcipny, Ahabie.

- Ja tam nie znam nic lepszego niż wielki, krwisty stek.

- Krwisty?

- Oczywiście, im bardziej krwisty, tym lepszy.

Poczuła ni stąd, ni zowąd, że żołądek podjeżdża jej do gardła.

- Niedobrze mi - wyszeptała i nakryła sobie dłonią usta.

Jack przyskoczył do niej, chwycił ją pod ramię i skierował ku wyjściu na pokład. Lizzie na chwilę oderwała dłoń od ust:

- Gdzie mnie ciagniesz?

- Mamy tu pewne zasady - powiedział. - Ten, komu jest niedobrze, wychodzi na zewnątrz.

- Ale to nie choroba morska - zamruczała. - To przez ciążę.

Jack pomyślał, że nie ma doświadczeń związanych z kobietami w ciąży. Zarazem naszło go przecucie, że w najbliższych dniach zdobędzie takich doświadczeń pewnie sporo.

Na górze podbiegli do relingu.

- No, teraz - objął Lizzie. - Ja cię przytrzymam.

Wychyliła się. I nic. Po chwili się wyprostowała.

- Nie zrobię tego, kiedy na mnie patrzysz - powiedziała zdławionym głosem.

- A jednak spróbuj. Nie mogę cię zostawić samej, bo jeszcze mi wypadniesz za burtę... A jest już wieczór, dziecinko.

Obróciła się w jego ramionach.

- Mówiłam ci, że nie jestem żadną dziecinką.

- No to ja nie chcę być Ahabem.

- Nie? Tylko kim, Kapitanem Hookiem*?

- Ależ ja mam dwie ręce, nie jedną, jak Hook.

Kapitan Hook - pirat z żelaznym hakiem zamiast ręki, jeden z bohaterów *Przygód Piotrusia Pana* Jamesa Matthew Barriego. (Przyp. tłum.)

Spojrzała. Niby racja. Tylko dlaczego obie te ręce spoczywają teraz na jej biodrach?

- No dobrze. Wobec tego zostaniemy tymczasem przy Ahabie.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- W porządku, Dorotko... Ale w końcu jak: zrobiło ci się lepiej, czy wciąż masz nudności?

Nabrała w płuca powietrza, wpierając się biustem w jego pierś.

- Jest mi trochę lepiej... Dużo lepiej. I możemy wracać na dół, bo w tej chwili nic nie czuję oprócz głodu.

On oczywiście też był głodny, w ten swój szczególny, skomplikowany sposób. Nie wypuszczał Lizzie z objęć, miał ochotę ją pocałować, zarazem jakaś siła kazała mu zrobić krok wstecz.

- To dobrze, chodźmy - opuścił ręce. - Chodźmy do kuchni. Aha, przypomniałem sobie, że w zamrażalniku jest parę torebek orientального makaronu z warzywami. Może ci się to nada?

- Makaronu z warzywami? Świetnie - ucieszyła się.

Jak łatwo ją zadowolić, pomyślał. Ruszyli w stronę kokpitu, a myśl Jacka samowolnie wyraziła przypuszczenie, lub raczej nadzieję, że może i przy kochaniu się nietrudno tę dziewczynę zadowolić? Oczywiście rozsądek kazał mu natychmiast ukrócić te myśli.

Kiedy znaleźli się na dole, wygrzebał makaron z zamrażalnika. Dla siebie zaś otworzył puszkę mięsa.

- Do dzieła - powiedział. - Trzeba nakarmić załogę.

- Całą załogę - zgodziła się Lizzie. - Z Hankiem włącznie. Z Hankiem włącznie.

Jedli, a Jack cały czas się w nią wpatrywał. Wreszcie pomyślała, że może jakaś kluska przylepiła jej się do policzka, i dyskretnie otarła się serwetką. Wtedy on przeniósł wzrok na jej biust. Zerknęła w dół. Nie, i tutaj nie ma żadnych klusek. Pożyczona koszulka była czysta.

Była czysta, ale przewiewna i Lizzie poczuła, że ma gęsią skórkę. Nie zamknęli wyjścia na pokład.

Skończyła jeść makaron, odłożyła widelec i objęła się ramionami.

- No, to było niezłe - powiedziała. - Bardzo dziękuję.

- Bardzo proszę. - Jack przeniósł wzrok na swój talerz.

Chwilę milczeli.

- Właściwie nie mam nic przeciw mięsożerstwu - odezwała się Lizzie. - Jeżeli rzecz nie dotyczy wołowiny. Mój dziadek był ranczerem i traktował swoje stado jak dzieci. Tak mi się wydawało. Aż tu któregoś dnia odkryłam, że jemy na obiad naszą kuzynkę, Bernie. To było w niedzielę. Dosłownie. To znaczy niedosłownie, bo tą kuzynką była oczywiście krowa o imieniu Bernie, w każdym razie ja ją uważałam za kogoś bliskiego. No i skończyło się. Odtąd nigdy więcej nie wzięłam do ust wołowiny.

Jack zamruczał coś, czego Lizzie nie uchwyciła. Prawdopodobnie nie miał ochoty na podtrzymywanie tego tematu.

- Mężczyzna taki jak ty... - zaczęła. - Wyobrażam sobie, że mógłbyś mieć kobietę w każdym porcie. Tak bywa z marynarzami.

- Nie jestem marynarzem.

- W każdym razie masz własny statek.

- Jaki statek! - Jack roześmiał się. - Chyba że masz na myśli statek w sensie stateczności... To by było nawet dosyć bliskie prawdy.

- Stateczny facet! - zaśmiała się Lizzie. - A w rzeczywistości taki, co włazi bez pukania do łazienki i gapi się na gołą kobietę... To znaczy na mnie.

Jack spojrział stropiony.

- Nie wiem, czemu tak zrobiłem... Coś mnie naszło. Bardzo cię przepraszam.

- Nie przepraszaj, nie przepraszaj - poklepała go po rękę. - Lepiej wiesz co? Pozwierzalbyś się trochę, Jack... A więc jak to jest z tymi marynarzami i ich kobietami?

Milczał chwilę. Potem wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie miałbym się czym pochwalić.

Przyjrzała mu się z nagłą sympatią. Bo i ona właściwie nie miałaby się czym pochwalić na polu podbojów.

Jack założył ręce za głowę, wyciągając nogi pod stołem.

- No a ty? - zapytał. - Pomówmy może o tobie?

- O mnie? Bo ja wiem... Ale dobrze: szczerłość za szczerłość. Otóż moje życie erotyczne prawie nie istnieje.

- Jak to nie istnieje? - pochylił się ku niej. - Zdało mi się, że jesteś w ciąży?

Ba, gdyby on mógł wiedzieć, jak doszło do tej ciąży... A doszło do niej bez jakiegokolwiek przyjemności. Bo czy może dać przyjemność kontakt z plastikowym cewnikiem?

- Wiesz, Jack - Lizzie spuściła oczy. - Może lepiej zmienilibyśmy temat?

Zabębnił palcami o blat.

- Już za późno. Sama ten temat wywołałaś.

Zacząła się podnosić.

- No to teraz go odwołuję, Ahabie.

Zebrała talerze ze stołu i odniosła je do zlewu. Kiedy puściła wodę z grzałki, światła w kokpicie zamrugały.

Spojrzała ku lampom.

- Co się dzieje?

Jack potarł czoło, jakby go nagle zabolęła głowa.

- To mogą być akumulatory. Prawdopodobnie się rozładowują.

- Rozładowują? Dlaczego?

- Bo silnik nie napędza prądnicy.

- I co, zostaniemy bez światła?

Wzruszył ramionami.

- Niewykлучzone.

- A masz jakieś świece?

Pokręcił głową.

- Z zasady nie używa się na jachtach świec... Cóż, trzeba będzie zacząć oszczędzać energię.

- Ajakaś latarka?

- Latarka jest, nawet chyba dwie. Ale bez zapasu baterii. Mamy jednak lampę naftową... Ale i ona jest prawie bez nafty.

Ładne rzeczy. Lizzie oparła się tyłem o blat.

- Czy to znaczy, że będziemy musieli jeść zimne rzeczy?

- Przypuszczalnie.

- I brać zimny prysznic? Po ciemku?

Skinał głową.

- Pryszyć - powiedział - dopóki nam się woda nie skończy... - Wstał i skierował się ku wyjściu na pokład.

- Gdzie ty idziesz? - Lizzie ruszyła za nim.

- Spróbuję wystrzelić jakąś flarę . Może ktoś to za-
uważy.

- Mogłabym ci pomóc?

- Pomóc? - uśmiechną się. - W czym?

- Nie wiem, ale na ogół lubię być aktywna.

- Aktywna, uhm.

- Owszem. Myślę, że zawsze jest lepiej, gdy ludzie
ze sobą współdziałają.

- Zależy przy czym współdziałają.

Odgarnęła grzywkę z czoła i zrobiła skromną minkę.

- Masz coś szczególnego na myśli?

Siwie oczy Jacka zasnuła mgiełka. Ale tylko na mo-
ment.

- Nie prowokuj, Dorotko - powiedział. - Odpalmy
lepiej naszą flarę, póki nie ma sztormu.

Wyszli na pokład.

Odpalmy flarę... We mnie samej coś się pali, pomy-
ślała Lizzie. Działa jakaś chemia, ale nie ta, której uczą
w szkołach. Chemia pomiędzy mężczyzną i kobietą.
Między Ahabem i Dorotą z Krainy Oz.

Przyglądała się manewrom Jacka z rakiетnicą... Jak
ośmielić tego dużego chłopca? Są we dwoje sami na
wielkim oceanie. A życie jest przecież krótkie. Któż
wie, co przyniesie jutro? Znaleźć się w ramionach ka-

pitana tego statku: byłoby to nie tylko przyjemne, ale może i rozsądne w najbliższych godzinach.

Lizzie westchnęła. Ach, zapomnieć wreszcie o pustych nocach, o całej złej przeszłości, o wszystkich dawnych zmartwieniach. Odżyć!

Żebyż tylko ten Jackson Dunlap zechciał z nią współdziałać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jack wystrzelił jedną raketę, potem drugą. I zostały mu jeszcze dwie, które postanowił na razie zaoszczędzić.

- Ojej ! - wyrwało się Lizzie.

Jack spojrział na nią, a potem w górę. Dwie jaskrawe flary wydawały się w niebie dziwnie piękne, ale i samotne, bo firmament nie był już czysty. Na początku nocy wygwieżdżony, zdążył zasnuć się chmurami.

- Są takie ładne - uśmiechnęła się Lizzie.

- Ładne, ale nie wiem, czy ktoś je zobaczy. Przy tej pogodzie.

- Wiesz co? Przypomniała mi się taka scena z *Titania*. Oni tam też puszczali rakietę.

Masz ci los.

- To nie są dobre skojarzenia, Dorotko.

- Phi, dlaczego. Piękny, romantyczny film, jeśli nie brać pod uwagę tego, że statek zatonął.

- Drobiazg, nie brać pod uwagę, że zatonął. Ależ on właśnie zatonął, niestety.

- Niby racja. - Lizzie przestała się uśmiechać. Jednak cała jej postać wciąż wyrażała optymizm, na poły jakby dziecinny. Bo też w jej twarzy, grzywce, wykoju oczu, minie, było chwilami coś dziecinnego. Odmienne niż w reszcie ciała, zdecydowanie kobiecego. Jack

przyłapał się na tym, że gapi się na jej pełne piersi, opięte cienką bawełną.

Ona nie wydawała się skrepowana.

- Więc myślisz, że to na nic? Te flary?

- Wcale tak nie myślę. Ale w natychmiastową pomoc nie bardzo wierzę.

- A kiedy? Jutro? Pojutrze?

Zastanowił się. Może lepiej jej nie straszyć? Nie psuć jej dobrego humoru? Bo jutro może nie być żadnej pomocy.

- Tak, myślę, że tak - powiedział. - Najpóźniej pojutrze.

Ba, o ile przetrwają grożący im sztorm... O ile ktoś zauważy ich sygnały i powiadomi straż przybrzeżną. Albo też przytomny okaże się ten... Walker? Jest tyle różnych „o ile”.

Przyszło mu do głowy, że mógłby jednak pocieszyć Lizzie wieściami z dziedziny gastronomii.

- W każdym razie mamy tu niezłe zaopatrzoną spiżarnię, więc przetrwamy. Oczywiście pod warunkiem, że nie będziesz się bez końca upierała przy swojej diecie.

Położyła rękę na brzuchu i spojrzała w dół.

- Dla wyżywienia Hanka gotowa jestem na wszystko. - Zmarszczyła nos. - Będę jadła nawet gulasz. Potraktuję to jako formę wymuszonego ludożerstwa.

Zaśmiał się. Ta dziewczyna jest naprawdę bystra. I naprawdę jest optymistką. Byłaby z niej dobra towarzyszka na bezludną wyspę. No i może się okazać niezłą na bezludny jacht.

Wtem zerwał się wiatr. Zatrzepotał kliwer.

- O, koniec flauty - zauważył Jack.

O burty jachtu zaczęły uderzać fale. Łodzią zakołysało. Lizzie i Jack zatoczyli się, wpadając sobie w objęcia.

- Najwyraźniej mamy się trzymać razem - powiedziała Lizzie. - Sam Neptun tego chce.

A czego ty chcesz, zastanowił się Jack. A czego ja? I usłyszał cichą odpowiedź swego ciała: chcę tej dziewczyny, teraz, zaraz.

Chwycił się jednej z want, nie puszczając Lizzie. Chociaż zapewne powinien był to zrobić.

- Czy balonami też tak szarpie? Jak to jest tam w górze?

Sam się zdziwił, że zapytał o to właśnie teraz. Ale coś prawdopodobnie należało zapytać.

- W górze... - w jej głosie zabrzmiała tęskna nuta.

- Otóż kiedy lecisz balonem, masz wrażenie zupełnego bezruchu. Świat się oddala, porusza, przesuwa niczym film, a ty tkwisz w miejscu.

Ach, tak. Ciekawa rzecz, bo Jack właśnie w tej chwili doznawał czegoś podobnego. Oddalały się od niego różne sprawy, postanowienia, on zaś unosił się ponad nimi i czuł spokój. Przede wszystkim gotów był chyba zrezygnować ze swego samotnego rejsu i płynąć dalej we dwoje. Tak, był na to gotów. Zresztą, sytuacja to wymuszała.

- Uhm - skinął głową. - To nieźle. To naprawdę nieźle.

Nowa fala uderzyła w burtę łodzi. Lizzie przyłgnęła do Jacka.

- Nieźle? - Uniosła oczy. - Takie fruwanie jest po prostu niebywałe!

Sama jesteś niebywała, odpowiedziało coś w myślach Jacka. Na przykład masz niebywałą figurę, niebywałe oczy, zarazem niewinne i dziwnie doświadczone... A te usta? Dlaczego jeszcze ich nie pocałowałem?

I Jack pocałował Lizzie, bez pytania, nie napotykając zresztą z jej strony sprzeciwu. Raczej odwrotnie, od razu objęła go za szyję i przyssała się do niego, bawiąc się swoim językiem z jego językiem i wciskając mu kolano między nogi, jakby robili takie rzeczy Bóg wie od jak dawna.

Przelał się trochę. Bo gdzież ich ta zabawa zaprowadzi? Zdjął ręce Lizzie ze swego karku i położył je obie na relingu. Westchnął.

- Może jednak lepiej nie... Sam nie wiem...
- Czego nie wiesz?
- Dlaczego my to robimy.
- Powiem ci - dźgnęła go palcem w pierś. - Dlatego, że ty jesteś chłopcem, a ja jestem dziewczyną. I że jest wieczór, a myśmy przed chwilą oglądali pokaz fajerwerków. I jest nam ze sobą chyba nieźle.

Niby racja. Całkiem rozsądne argumenty... A jednak Jack nie mógł zapomnieć, że ta dziewczyna jest w ciąży, i to w ciąży nie z nim. I rozumiał, że wkrótce się rozstana, a więc lepiej nie brać jej, w stanie w jakim jest, na swoje sumienie. I że w ogóle chwila nie jest odpowiednia, bo idzie burza, a oni są bezbronni na tym zdeluzowanym jachcie, pozbawionym żagla, silnika i radia.

Znowu westchnął.

- Jeszcze raz przepraszam. To się więcej nie powtórzy.
- Dmuchał wiatr i Lizzie zebrała koszulkę na piersi.

- Nie powtórzy? Aż tak dobrze panujesz nad sobą, Ahabie?

- Jak sobie coś postanowię, to się tego trzymam... Naprawdę - skinał głową. - Ale może chodźmy lepiej na dół? Ten wiatr robi się chłodny. I w ogóle pora spać, Dorotko.

Zgodziła się z nim milcząco.

Zeszli pod pokład, dociskając za sobą drzwi.

- Oddam ci swoją koję - zaproponował Jack. - A sam rozsunę sobie tę ławę w kokpicie.

- Po co ława? Koją nie wystarczy na nas dwoje?

- Chyba, że spalibyśmy jedno na drugim.

- To mogłoby być nawet niezłe - zaśmiała się. - Pod warunkiem, że ja miałabym miejsce na górze.

Czy ta dziewczyna niczego się nie boi, zastanowił się? I dlaczego mnie tak prowokuje? Ba, ale ja się nie dam sprowokować.

Jack nie zamierzał dać się sprowokować, bo nie lubił przelotnych znajomości. Uważał się za człowieka odpowiedzialnego. A teraz szybko wydedukował, że z nich dwojga żadnej pary przecież być nie może, choćby dlatego, że Lizzie, jako przyszła matka, potrzebuje statecznego opiekuna, a nie takiego jak on obieżyświata, poszukującego przygód. O właśnie, to jest argument rozstrzygający.

Cóż więc pozostaje? Może program minimum: przetrwać burzę i bezpiecznie dotransportować tę kobietę na brzeg. Bez względu na to, jakie w tym czasie pomysły może mieć ona sama. Z tymi myślami Jack zakwaterował Lizzie w swojej sypialni, a sam zaczął dla siebie urządzać pośłanie w kokpicie.

Normalnie fantazjowanie nie leżało w temperamencie Lizzie, a już na pewno nie fantazjowanie na temat mężczyzn. Zmieniło się to jednak od czasu, gdy zaszła w ciążę... Zaszła zaś w ciążę z kimś, kogo w zasadzie nie znała. I właśnie tego kogoś próbowała sobie ostatnio dosyć często wyobrazić. Klinika położnicza, w której doszło do zapłodnienia *in vitro*, przekazała jej bardzo skąpe informacje dotyczące ojca dziecka. Miał to być podobno ktoś niemieckiego pochodzenia, po dwudziestce, szatyn, piwnooki, powyżej metra osiemdziesięciu, absolwent uniwersytetu z adnotacją na dyplomie *Magna cum laude**. Szukała sobie właśnie kogoś z taką adnotacją, była bowiem kobietą ambitną. Chciała mieć mądre dziecko.

Sama też uważała się za niegłupią, choć nie udało jej się niestety w życiu studiować. Po maturze skończyła jedynie kursy kosmetyczne; ostatnio przedstawiała się jako „wizażystka”. No, ale przede wszystkim była przecież aeronautką! Pilotowanie balonów uważała za swe główne powołanie. Niestety, katastrofa „Bessie” najakiś czas położyła kres jej ambicjom.

Przewracając się teraz z boku na bok w koi Jacka, dziwnym trafem swoje przedsenne fantazje męskie zesrodkowowała na postaci samego Jacka. On też był szatynem, wysokim i chyba wystarczająco inteligentnym. W dodatku był przyzwoitym człowiekiem; mimo tylu prowokacji z jej strony nie dał się w żaden sposób skusić. Choć nie był przecież z drewna: pocałowali się

* *Magna cum laude* (łac.) - „z wielką pochwałą”. (Przyp. tłum.)

i w ogóle widziała, że mu się podoba, że kapitan Ahab jedynie siłą woli powstrzymuje swą namiętność.

Fale coraz silniej kołysały jachtem. Przy takiej huśtawce niełatwo było zasnąć. Pomyślała, że czuje się samotna, że Jack nawet nie powiedział jej „dobranoc”, pokazał tylko ogólnie kajutę i gdzie się gasi światło. A gdyby tak wstać i zażądać owego „dobranoc”?

Nie zapalając światła, zaczęła się wygrzebywać spod koca. Wstała. Podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę. W tym momencie nowa fala szarpnęła łodzią. Lizzie zatoczyła się, nie puszczając jednak klamki. Otworzyła drzwi, przechodząc z jednego ciemnego pomieszczenia do drugiego. W kokpicie od razu łupnęła kolaniem o kant ławy. Cicho zakląła. Potem zaczęła nasłuchiwać. Gdzie tu może być Jack?

- Śpisz? - zapytała szeptem.

Nikt nie odpowiedział.

- Odezwij się, Ahabie.

Nadal milczenie.

Pochyliła się i jedną ręką rozcierając kolano, drugą próbowała zmacać ławę i śpiącego. Ława się znalazła, ale nikt na niej nie leżał.

Pewnie jest w łazience, zdecydowała i ostrożnie skierowała się w tamtą stronę. Jacka nie było jednak w łazience. Do licha, wobec tego albo poszedł na górę, albo w ogóle porzucił tę jednostkę pływającą.

Porzucił...? Głupia myśl, Lizzie wzruszyła ramionami. Znow ten kobiecy brak logiki. Jack jest przede wszystkim mężczyzną odpowiedzialnym i opiekuńczym; nie zostawiłby jej samej na oceanie. Zresztą czym

miałby odpłynąć? Żadnej szalupy na pokładzie nie uważała.

Zaczęła się przemieszczać w stronę trapu. Jachtem teraz mniej jakby kołysało. Właściwie chyba w ogóle przestało kołysać?

Wspięła się po schodkach i wysunęła głowę na zewnątrz. Z ulgą stwierdziła, że jej kapitan Ahab tkwi na swoim posterunku. Był na rufie, stał odwrócony, wypatrywał chyba czegoś na morzu. W mdłym blasku światła pozycyjnych wydał jej się prawie posagowy, niezłomny i przy tym wielki jak góra.

Spojrzała w niebo. Było pełne chmur, z przebłyskującym niekiedy księżycem. Woda, jeszcze przed kwadransiem tak rozhuśtana, teraz wydawała się podejrzanie spokojna, jakby oleista.

Lizzie do końca wynurzyła się z kokpitu. Cichutko ruszyła w stronę Jacka. Podeszła do niego na paluszkach i położyła mu rękę na ramieniu.

- Czego ty tak wypatrujesz?

On wyraźnie drgnął, po czym zeszywniał. Obejrzał się.

- Ależ udało ci się mnie zaskoczyć! Obserwuję horyzont, Dorotko, bo może ktoś jednak zauważył te nasze flary?

- Taką masz nadzieję?

- Zawsze trzeba mieć nadzieję. Potrzeba nam jej zwłaszcza w naszej sytuacji. Popatrz, mamy ciszę przed burzą.

Dmuchnęło nagle. Przez czarną wodę, z lampą księżycy w głębinie, przeleciały dreszcze. Kliwer na dziobie zatrzepotał.

- Brrr... - Lizzie otoczyła się ramionami.
- Po coś wstawiała? Trzeba było siedzieć w ciepłe.
- Nie mogłam spać. Zresztą wcale nie było mi ciepło. I właśnie postanowiłam - zaczęła zmyślać Lizzie - że zapytam cię o jakiś dodatkowy koc.
- Aha. No więc koce są w składziku, obok kajuty, na środkowej półce.

Zawahała się, czy ma wracać. Wcale nie miała ochoty wracać sama.

- Długo tu zostaniesz? - spytała.

Przyjrzał jej się. Chmury zasłoniły księżyc, światła pozycyjne ledwie ćmiły słabym blaskiem. Nie było prawie nic widać, ale on znał już przecież na pamięć pokusę, która przed nim stała.

- Może jeszcze chwilę. A ty idź się kładź.
- Jak długo trwa u ciebie chwila?
- Czy ja wiem... parę minut. Czemu tak pytasz?

Podniosła oczy.

- A jeśli powiem ci prawdę, nie będziesz się śmiać? Jack miał w tej chwili ochotę na różne rzeczy, ale akurat nie na seans zwierzeń. No i nie na to, by się śmiać.

- Nie jest mi do śmiechu. Popatrz na morze - zatonął głową. - Jesteśmy w dość poważnej sytuacji.
- No dobrze. - Zdawała się nie chwytać sensu jego słów. - To powiem... Ale ty pomyślisz, że jestem tchórz.

Panna Matheson tchórzem? Nie, to nietrafne. Wygląda za to na narwaną, fantastkę i w ogóle prowokatorkę. O, właśnie tak. Pokręcił głową.

- Nigdy bym cię nie nazwał tchórzem.
- Ale teraz nazwiesz.

Westchnął.

- Możesz mnie wypróbować. No, słucham.

- No więc ja... - Lizzie odgarnęła grzywkę z czoła
- nie cierpię być sama.

Bardzo dziwne, pomyślał Jack. Bo przecież być samemu jest chyba najprzyjemniej?

- Nie cierpisz być sama - odchrząknął. - No a na przykład... z kim mieszkasz, tam, gdzie mieszkasz? Bo rozumiem, że z kimś?

- Z kim mieszkam? Właściwie z nikim. To znaczy od tygodnia z nikim. Bo mój przyjaciel łan wyprowadził się dokładnie tydzień temu.

- Przyjaciel?

- Tak, bardzo dobry przyjaciel.

- I tylko przyjaciel?

- A cóż w tym może być niezwykłego? Wydajesz się zaskoczony.

Ponieważ był zaskoczony. Szczerze.

- Osobiście miałbym trudności w zamieszkiwaniu z kobietą - powiedział - i utrzymaniu z nią kontaktu tylko platonicznego.

- Nie przyjaźnisz się z kobietami? - Teraz Lizzie wydawała się zaskoczona.

- Jakoś nie.

- Powinieneś kiedyś spróbować! - zaśmiała się, błyskając zębami w półmroku. - Możliwe, że wszedłbyś wtedy w lepszy kontakt z żeńską częścią swej osobowości.

Jack wolałby już wejść w lepszy kontakt w żeńską częścią jej, Lizzie, osobowości.

- W każdym razie ty i Ian - zapytał - byliście ze sobą blisko?

- Można by tak powiedzieć. Dopóki on nie znalazł miłości swego życia.

Z tonacji głosu Lizzie Jack wywnioskował, że sprawy nie wyglądały całkiem niewinnie. Ona chyba wiązała jakieś dodatkowe nadzieje z tym... przyjacielem. Niby to nie jego interes, ale postanowił podrażnić ową tajemnicę.

- Czy to Ian jest ojcem twego dziecka?

- Ależ nie! - zaprzeczyła żywo. - Nic w tym rodzaju nas nie łączyło. Myśmy tylko współpracowali ze sobą, Jack, w salonie kosmetycznym, w którym miałam posadę, Ian był fryzjerem.

- Fryzjerem? A więc był gejem?

- Dlaczego? - skrzywiła się. - Czy każdy fryzjer musi być gejem?

- Nie to miałem na myśli. Chodzi mi o to, że... No wiesz. Mężczyzna mieszka z kobietą, i nic. To znaczy, że coś jest z nim nie w porządku.

Znowu się zaśmiała.

- Ależ ty masz poglądy! A jednak Ian był całkiem normalnym facetem. I teraz znalazł sobie piękną dziewczynę, modelkę... Ja prawdopodobnie nie byłam w jego typie.

Jack zastanowił się nad tym ostatnim. Co ta Lizzie chce przez to powiedzieć? Że sama jest nie dość ładna? Czyżby miała jakieś kompleksy? E, chyba nie, przecież wygląda na dziewczynę bez kompleksów. W każdym razie zachowuje się jak kobieta zdecydowanie bez kompleksów.

- Czyli przywykłaś być zawsze z kimś - Jack oparł się tyłem o reling. - I nawet na tym jachcie...

- Właśnie - wpadła mu w słowo. - Zwłaszcza na tej łodzi, w nocy, poczułam się sama. Dokoła pustka, nikt o nas nie wie, wszędzie czai się niebezpieczeństwo... Chciałabym, żebyś był blisko.

A Jack wolałby, żeby ona była daleko. Możliwie najdalej, aż za kołem horyzontu. Choć równocześnie nie gotów byłby rzucić się na nią, w tej chwili, upaść z nią tutaj na pokład i kochać się. Ponieważ coś go do tej kobiety potężnie przyciągało. W gruncie rzeczy od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył, wiedział, że „to jest to”. I tylko starał się to w sobie stłumić, wyrwać z siebie.

E, wszystko to są zmysły, nic więcej, zaczął się zaraz ze sobą spierać. Zwyczajne pożądanie i nic poza tym. Ale czy naprawdę nic poza tym? Jednak było w Lizzie coś szczególnego, coś, co zapewne nie da mu spokoju, dopóki ta dziewczyna będzie przebywała na jego łodzi.

- Zdaje mi się, że jest ci chłodno - powiedział, zauważwszy, jak Lizzie znowu się kuli, zbierając koszulkę na piersi. - Może byś jednak zeszła pod pokład?

- Mam sama zejść?

- Ja zaraz przyjdę. - Jack spojrzał w niebo, które zdawało się przecierać. - Może tej burzy dziś już nie będzie? Poobserwuj jeszcze chwilę pogodę.

- No dobrze, skoro musisz... Ale jak zejdziesz, włóż na chwilę głowę do mej kajuty i powiedz mi „pa-pa”. Bez tego nie zasnę.

- Oj, Dorotko. Przecież nie jesteś dzieckiem. Ale zgoda, zrobię ci „pa-pa”.

Zrobiłby jej chętnie o wiele więcej, teraz był już pewien, że chętnie zrobiłby o wiele więcej. Gdybyż sam sobie nie stał na przeszkodzie...

Lizzie odeszła, a Jack zaczął się przyglądać morzu. Po chwili posłyszał jednak klaskanie bosych stóp o pokład. Odwrócił się.

- Jeszcze jedna rzecz, kapitanie - odezwała się półnaga zjawa.

- Słucham?

- Masz naprawdę niezły statek.

- Niezły? Bo ja wiem. W każdym razie dziękuję.

- I sam też jesteś niezły. Pojęcia nie mam, czemu ci to mówię. - Po tych słowach Lizzie odwróciła się na pięcie i znikła w drzwiach kokpitu.

- Ahabie, co to takiego? - zawołała Lizzie z łazienki.

Był już biały dzień i Jack kończył właśnie pić swoją poranną kawę. Spojrzał na drzwi. Nie ma mowy, postanowił, nie popełni wczorajszego błędu, nie wejdzie tam do środka, aby znowu ujrzeć gołą nimfę.

- O co pytasz?

- O ten srebrny puchar, na podłodze, koło drzwi. Wygląda jak jakieś trofeum.

Bo rzeczywiście było to trofeum. A zarazem wspomnienie po pewnej katastrofie, o której Jack wolałby nie pamiętać.

- Używam go jako odbojnika. Chroni ścianę.

Drzwi od łazienki skrzypnęły. Wynurzyła się Lizzie,

z turbanem na głowie, tak jak wczoraj, i w żółtym polarze Jacka. Najwyraźniej postanowiła dziś nie zmarznąć.

- Chyba nie masz mi za złe - pokazała polar. - Znałam go w szafce, tej przyśrubowanej do podłogi.

Wzruszył ramionami.

- Czym chata bogata. Czuj się jak u siebie w domu.

Lizzie ściągnęła ręcznik z głowy. Zaczęła nim energicznie trzeć włosy.

- Dziś byłam bardzo grzeczna - powiedziała. - Zużyłam tylko odrobinę wody. Taka tam... ptaszęca kąpiel.

- Ptaszęca kąpiel. Ładnieś to nazwała.

- Powinieneś być ze mnie zadowolony. - Tarła dalej głowę, wyginając się do tyłu, z podanymi naprzód pierściami, które kołysały się pod bluzą raz w lewo, raz w prawo. Jack patrzył jak zahipnotyzowany.

- Czy coś się stało? - opuściła ręcznik.

- Nie, nic - zaprzeczył. - Chociaż właściwie... Nie bardzo tej nocy spałem.

Nie bardzo spał - oczywiście z jej powodu.

- Wiesz - zapytała - co by ci dobrze zrobiło?

Jasne, że akurat to wiedział. Potrzebował natychmiast wyłuskać ją z tego żółtego polaru, położyć tu na ławie i...

- No? Co by mi dobrze zrobiło?

- Jakieś niewielkie postrzyżyny. A mógłbyś się też ogolić.

- Ależ ja się goliłem. O świcie.

- Goliłeś się? - Przyjrzała mu się z bliska, mrużąc oczy. - Dziwne, nie wyglądasz na to. Musisz mieć mocny zarost.

- Właśnie. Dlatego, prawdę mówiąc, najchętniej zapuściłbym brodę. Byłby ze mnie wtedy prawdziwy wilk morski. - Uśmiechnął się. - Nie uważasz?

- Uważam, czemu nie, Ahabie. Ale na razie mogliśmy uporządkować twoją fryzurę. Dobrze? Poszukaj jakichś nożyczek.

Nie był pewien, czy ma ochotę na takie rzeczy i czy może jej zaufać.

- Mówiłaś, że jesteś kosmetyczką, nie fryzjerką.

- Na fryzjerstwie też się znam. W ogóle znam się na wielu rzeczach. Z prowadzeniem balonów włącznie.

Jack westchnął.

- Naprawdę nie jestem pewien, czy chcę, żebyś mi skraciała włosy.

- Chcesz, chcesz, tylko sam o tym po prostu nie pomyślałeś.

Ależ ta dziewczyna jest uparta.

- Jeśli pozwolę ci to zrobić, czy potem puścisz mnie do moich robót na pokładzie?

- Oczywiście. A ja się w tym czasie poopalam.

- Poopalasz się? Rano, kiedy sprawdzałem pogodę, nie widziałem żadnego słońca.

- Nie widziałeś słońca? Jesteś pewien? - Lizzie ruszyła do wyjścia na górę. Wspięła się po trapie i wysadziła głowę na zewnątrz. - Moim zdaniem - obróciła się w dół ku Jackowi - to coś na niebie, to jest słońce?

Jack przeniósł spojrzenie z kształtnych nóg Lizzie w stronę iluminatorów. Rzeczywiście, jak mógł przeoczyć ów fakt, że na świecie zrobiło się całkiem jasno?

- No, jak tak, to się opalaj - powiedział. - Ale raczej

szybko, bo nie wiadomo, na jak długo pogody wystarczy.

Zeszła do kokpitu.

- Najpierw - uśmiechnęła się - zajmimy się jednak twoimi włosami.

Nie sposób z nią walczyć, uznał Jack.

- Trudno, skoro się tak upierasz. Nożyczki są tutaj - pokazał - w szafce nad zlewem. Tej prawej. Trzecia szuflada od dołu.

Skinęła głową.

- Ty usiądź może przy stole - zarządziła. - Przenieś się na to przyśrubowane krzesło. Zsuń koszulę i osłoń się ręcznikiem.

Zasalutował.

- Tak jest, majorze.

Uniosła brwi.

- Dlaczego właśnie „majorze“?

- Bo jest to stopień wyżej od kapitana, a kapitanem jestem tu, zdaje się, ja.

Nie oponowała.

Poszła po nożyczki i chwilę grzebała w szufladach.

- O, brawo, całkiem się rozebrałeś - zauważyła wracając. Jack bowiem nie tylko zsunął, ale i zupełnie zdjął z siebie koszulę. Lizzie przekrzywiła głowę. - Ładny jesteś - poklepała go po nagich plecach. - Chyba ćwiczysz?

- Niespecjalnie - wzruszył ramionami. - Tyle, co przy robotach na pokładzie. No i pływam.

- A nigdy się nie boisz, że jak pływasz, to twój statek odpłynie w tym czasie gdzieś w inną stronę?

Zaśmiał się.

- A wiesz, że czasem się tego boję... Dlatego zawsze przywiązuję się linką do relingu.

Skinęła głową z uznaniem.

- Słusznie. To bardzo inteligentne.

- A propos robót... - Jack pochylił głowę, poddając się pierwszym cięciom nożyczek. - Mam dziś zamiar uruchomić silnik. Bez tego nie mielibyśmy prądnicy, a bez prądnicy nie naładujemy akumulatorów. No i mielibyśmy żyć w ciemnościach.

- Nie mam nic przeciwko ciemnościom - przesunęła ręką przez jego włosy - jak długo nie zostawiasz mnie samej.

Ta dziewczyna naprawdę zaczyna mną rządzić, ocenił Jack. Wczoraj zdołał jej się oprzeć, ale co będzie dzisiaj? Czuł, że Lizzie Matheson, skracając mu włosy, odbiera mu resztkę sił, a właściwie ostatki rozsądku. Ba, lecz właśnie to zaczynało mu się podobać!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Piękne, mocne włosy i piękne, mocne ciało, oceniała Lizzie, szybko klekocząc nożyczkami. Muskała kark i ramiona Jacka, bo sprawiało jej to przyjemność. Zgrabniej by go ostrzygła na mokro, ale trzeba przecież oszczędzać wodę, uznała. Zerkała to z boku, to z góry, to z przodu. Nie spieszyła się z zakończeniem pracy.

- Może już? - Jack zaczął się niecierpliwić. - Chyba nie obsmyczysz mnie na łyso?

- Cierpliwości, kapitanie. Zaufaj mi.

- Tak jest, majorze - westchnął Jack. - A cóż mi innego pozostaje?

Lizzie dalej szczykała nożyczkami.

- Wiesz co? - powiedziała w pewnej chwili. - Twojej łodzi przydałoby się jakieś imię. Nie uważasz?

Zerknął na nią, z odcieniem irytacji w oczach.

- Ten jacht ma już imię.

- O! Nie zauważyłam. I jakież to?

- Nazywa się „Hannah”.

„Hannah”... Imię kobiety. Lizzie prawdopodobnie nie powinna być tym zaskoczona ani tym bardziej czuć zazdrości. A jednak ukłuła ją zazdrość. Dał więc tej łodzi imię żeńskie: jest w tym jawna deklaracja.

Postanowiła się upewnić.

- Czy Hannah to ktoś szczególny?
- Owszem. Chociaż dawno się rozstaliśmy.

Rozstali się... A jeśli było tak, że ta kobieta złamała Jackowi serce? Lizzie od razu poczuła do niej silną niechęć. Kto wie, czy to nie przez nią on tuła się tak samotnie po oceanie? Aby zapomnieć, uleczyć duszę daleko od niej.

Gdyby tak rzeczywiście było, tym bardziej warto się nim zająć, zdecydowała Lizzie, pomóc mu w owym zapomnianiu. Chyba Jack pozwoli sobie pomóc? Lizzie nie liczyła na nic trwalszego między nimi, ale i tymczasowy flirt, przygoda są przecież nie do pogardzenia.

Flirty nie były jej specjalnością, niemniej w życiu różne rzeczy robi się po raz pierwszy. I teraz pierwszy raz, sama się temu dziwiła, miała ochotę poprowadzić grę z mężczyzną.

Początek akcji od razu ułatwił jej nagły przechył łodzi, który rzucił ją wprost w objęcia Jacka. Wparła się niemal piersiami w jego twarz. On ujął ją w pasie i lekko odsunął od siebie.

- Dorotko, robisz się niebezpieczna.

Uśmiechnęła się przepaszająco.

- To ten Neptun. To on nas tak pcha na siebie... I zresztą wcale nie jestem niebezpieczna, bo nożyczki spadły mi za krzesło. A więc nie jestem uzbrojona.

- Ależ jesteś, jesteś. - Jack wpatrywał się w jej biust. - Całe twoje ciało należałoby zarejestrować jako śmiercionośną broń.

Poczuła się mile polectana tym komplementem. Wyciągnęła ręce i oparła je na ramionach siedzącego

mężczyzny. Zakołysała biustem tuż przed jego nosem. On nie wytrzymał i najpierw lekko dmuchnął w jej dekolt, lecz ponieważ to nie oddaliło zjawiska, polizał ją w szyję. Lizzie przeciągnęła się.

- Okropnie kusisz - zamruczał Jack.

Zrozumiała, że rybka połknęła haczyk. W następnej chwili już siedziała na jego kolanach i całowała go oraz była całowana. A zaraz potem przenieśli się oboje na wysciewaną ławę.

Lizzie ułożyła się plecach. Jack wsunął rękę pod żółty polar i odnalazł zapięcie stanika, to znaczy dwa guziczki z przodu. Przypadł ustami do jej sutek, ona zaś rozwarła pod nim kolana. Łagodne kołysanie łodzi w tył i w przód zdawało się podpowiadać dalszy ciąg tego spotkania.

Dalszego ciągu miało jednak nie być. Jack bowiem, jakby go coś pociągnęło w tył, uniósł się nagle. Wstał i usiadł z powrotem na swoim krześle.

- Nie możemy tego zrobić - westchnął.

Lizzie leżała oszołomiona, nie pojmując, co się stało, Wreszcie zapytała cicho:

- Dlaczego nie możemy? - W jej głosie była frustracja, a w spojrzeniu gotowość do zaczepki.

On zdjął z oparcia krzesła swoją koszulę i zaczął ją wkładać.

- Lepiej pójde trochę popracować - powiedział. - Uruchomię silnik.

- A mnie unieruchomiłeś - poskarżyła się. - Bardzo nieładnie, Ahabie.

Skrzywił się.

- Ktoś z nas dwojga musi być rozsądny. Wiesz, Dorotko, równie dobrze jak ja, że wszystko to byłoby głupie. Ty przede wszystkim jesteś, zdaje się, w ciąży.

Podniosła się, opuszczając nogi na podłogę.

- No i co z tego? - odgarnęła grzywkę. - Cięża to nie choroba zakaźna. Nie musisz się mnie bać.

- Ale ja wolałbym nikomu nie wchodzić w drogę. Zdziwiła się.

- Wchodzić w drogę? Wjaki sposób? Fizycznie czy emocjonalnie?

- Ani tak, ani tak.

Przekrzywiła głowę, zmuszając go do spojrzenia sobie w oczy.

- Ty coś ukrywasz, Ahabie - powiedziała. - Może ta... Hannah złamała ci serce i to cię osłabia?

Przesunął dłonią po świeżo ostrzyżonej głowie.

- Pudło, Dorotko - odchylił się w oparciu. - Nikt mi nie złamał serca.

Zastanowiła się. Czyżby jej intuicja kłamała?

- A więc dlaczego tułasz się sam po oceanie? Od tylu miesięcy?

- Lubię być sam. Po prostu. I lubię, żeby nie było żadnych komplikacji.

Usiadła wygodniej, wyciągając nogi ku przodowi i zakładając ręce za kark.

- Komplikacji, komplikacji... Ależ ja nie chcę od ciebie żadnych tam deklaracji. Myślałam tylko o przyjemnej przygodzie. Takiej, jaka może się przydarzyć kobiecie i mężczyźnie, kiedy są sami.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Zachciało ci się po prostu seksu? Tylko tego? Nie wierzę.

Pochyliła się ku niemu.

- A cóż ty o mnie w ogóle wiesz?

- Wiem... Coś tam wiem. Wiem na przykład, że przydałby ci się w życiu mężczyzna, którym ja na pewno nie jestem.

Podeszła do niego i pogłaskała go po policzku, jak dużego chłopca.

- A czego albo kogo potrzebuje sam Jack Dunlap?

Uśmiechnął się blado.

- Ja? Mnie jest potrzebna przede wszystkim samotność.

Po tych słowach wstał i nie spiesząc się, ruszył do wyjścia na pokład.

Lizzie oparła się o stół. Sięgnęła pod polar i zaczęła zapinać stanik. Może on ma rację, pomyślała. Rzeczywiście nie jest chyba tym, na kogo czekała. Jednak z tą poprawką, że jak dotąd, nie czekała właściwie na żadnego mężczyznę. Z przedstawicieli płci brzydkiej kochała tylko ojca. I czuła się do tego stopnia samowystarczalna, że nawet po to, aby mieć dziecko, poszukała sobie dawcy, a nie jakiegoś partnera.

Cholera, zakłęta w myślach. Bo jednak to wszystko jest tak naprawdę dużo bardziej skomplikowane... W tym Ahabie napotkała jednak coś, co działa na nią magicznie, od pierwszej chwili, kiedy go ujrzała. Ale cóż to jest takiego?

I uzmysłowiła sobie, że zawsze była wyczulona na osoby robiące wrażenie zagubionych. A Jack Dunlap

wydaje się właśnie zagubiony. On oczywiście myśli, że jest twardy... Lecz w jego spojrzeniu łatwo wytropić oznaki słabości. I więcej, jakiegoś skrywanego bólu.

I tak to wygląda. Lizzie rozejrzała się dokoła... I przypomniało jej się, że miała pójść się poopalać. No dobrze, czemu by się nie poopalać? Ognisty flirt zawiódł, za to upał lata nie zawodzi.

Poczuła nagle, że jest jej gorąco. To ten polar! Ściągnęła bluzę. I ruszyła do łazienki po jakieś prześcieradło kąpielowe. Znalazła odpowiednie, zarzuciła je sobie na ramiona i skierowała się ku wyjściu na pokład. Na górze, nie oglądając się, ruszyła prosto na dziób.

Rozesała prześcieradło i ułożyła się na brzuchu. Zerknęła ku słońcu. Wydawało się przymglone. Tym lepiej, bo na tej łodzi nie wykryła żadnego kremu do opalania. Po chwili ściągnęła biustonosz. Pomyślała, że całkiem nieźle jest leżeć pod słońcem. Choć oczywiście lepiej byłoby leżeć pod Jackiem... Już prawie, prawie udało jej się go zdobyć! Widziała pożądanie w jego oczach. Mówił jej takie miłe rzeczy. I nagle czary się przerwały... A może ten Dunlap nie jest wcale zagubiony, tylko zblazowany? Na pewno miał w życiu wiele kobiet. Bardziej doświadczonych od niej. Pewnie wyrefinowanych. No i piękniejszych.

Lizzie nie uważała się za doświadczoną ani piękną. Skądże! Była zaledwie sobą i aż dotąd zupełnie jej to wystarczało. Jemu to jednak może nie wystarczać... No, ale jeśli nie - to pal go sześć! Kiedy dopłyną do lądu - pożegnają się po prostu i to będzie koniec tej historii. I bez Jacka Dunlapa Lizzie ma co robić na świecie. Ma

głową pełną planów. Już za kilka miesięcy urodzi się mały Hank. Ileż to się nowych rzeczy zacnie.

Czy można chcieć czegoś więcej od życia?

Ba, lecz właśnie można chcieć więcej! Lizzie będzie miała dziecko od dawcy, co nie przeszkadza, że coraz częściej zastanawiała się nad tym, kto to dziecko ma wychować. Miałaby się tym zająć sama? Z punktu widzenia Hanka byłoby to pewnie niewystarczające. Mali ludzie lubią mieć tatusiów, nie tylko mamusie. Jej, własny ojciec na przykład był dla niej kimś niezwykle ważnym.

Los, czy Neptun, wymyślił dla niej teraz Jacka Dunlapa. Szkoda, że sam Jack Dunlap nie chce tego dostrzec... Szkoda. Lizzie obróciła się na chwilę na plecy i rozejrzała po pustym pokładzie.

Wróciła do poprzedniej pozycji. Ale Jack jest i tak wart poznania, postanowiła. Choćby chwilowego, fragmentarycznego poznania. Dlaczego ten biedny Ahab tak się włóczy sam po morzu? I skąd w jego oczach ten skrywany ból...?

Majstrując w swej kabince sternika na rufie, Jack co chwila rzucał okiem na przód łodzi, gdzie opalała się Lizzie. Po spotkaniu z tą dziewczyną pod pokładem czuł w sobie, od pasa w dół, taką energię, że gdyby mógł ją zużyć dla celów żeglugi, dostarliby do portu w rekordowym czasie.

Otarł czoło. Że też ta Dorotka musiała uwziąć się na niego... Teraz chyba nie wie, że jest obserwowana, bo znów defiluje naga. Albo też rozebrała się, bo właśnie wie, że jest obserwowana.

Przełożył klucz z ręki do ręki i próbował się skupić na wale korbowym silnika... Nie, to nic nie da. Jeśli chodzi o wał, to trzeba najpierw zejść pod wodę i odmotać linki balonu ze śruby.

Właściwie sam czuł się jak popsuta śruba, zamotany w obecność i aktywność tej pilotki balonów... Gdyby resztką sił nie oderwał się godzinę temu od Lizzie, pozabawiłaby go zupełnie woli. Nic by teraz nie robili, tylko kochali się jak szaleni, pewnie aż do wieczora. A łódź dryfowałaby, diabli wiedzą w którą stronę. Być może ku epicentrum zbliżającego się cyklonu.

Broń Boże uwikłać się w los tej Elizabeth Matheson! Co prawda opowiada tylko o niewinnej chęci na „przygodę”, ale kto by w to uwierzył. Kobietom w ciąży nie są w głowie „przygody”. Takie kobiety szukają przede wszystkim gniazda.

Uwikłać się... W istocie już był uwikłany. Desperacko pożył się przeciw tej Dorotki, choć zarazem jej sobie odmawiał. Nie tylko jej pragnął, ale również... polubił ją? Tak polubił jej uśmiech, dowcip, prosty sposób bycia. A jakież ona ma piękne oczy! Oczami tymi wydaje się przeświećlać go na wylot.

Zauważył, że Lizzie podnosi właśnie głowę i wpatruje się w niebo. W następnej chwili poderwała się, złapała prześcieradło i biegiem ruszyła ku zejściu do kokpitu. Co się stało, czyżby dostrzegła jakieś nadciągające chmury? Może przelękła się, że uderzy grom z jasnego nieba? Jeśli ktokolwiek zasługiwał teraz na karę z nieba, pomyślał Jack, to tym kimś był tylko on sam. Na przykład z powodu niewystarczającej po-

wściągliwości względem bezradnej dziewczyny na pokładzie. Tak się nie traktuje uratowanego rozbitek.

- Ahab! - zawołała Lizzie, zbiegając pod pokład.
- Samolot!

Jack odłożył klucz monterski i wysunął się dołem ze swej sterówki, połączonej trzema schodkami z kokpitem. Samolot: byłaby to całkiem niezła wiadomość.

- Śmigłowiec? Straż przybrzeżna? - zapytał.

W zielono-błękitnych oczach Lizie paliły się jeszcze iskry podniecenia. Okręcała ręcznikiem ramiona.

- Nie, to była jakaś awionetka. Chyba prywatna.

- Szkoda, że nie pomachałaś - zauważył Jack.

- Jak miałam pomachać: jestem przecież gołą. - Na chwilę uchyliła prześcieradła. - Lotnik mógłby się zgorszyć.

Błysnął śliczny biust.

- Aha - zmrużył oczy Jack. - To znaczy, że mnie wolno ci gorszyć, ale jakiegoś tam lotnika nie.

- Ty nie jesteś obcy. - Lizzie zrobiła skromną minę. - A tamten ktoś mógłby być na przykład starszym panem. Dostałby ataku serca. I spadłby do morza.

Jack poczuł, że jeszcze chwila, jeszcze jedno takie przedstawienie z gołym biustem, a sam dostanie ataku serca... Albo zaatakuje bezwzględnie tę Dorotkę i zrobi jej krzywdę, o którą ona sama zresztą się prosi.

Westchnął.

- No dobra. Może jednak ten pilot kogoś zawiadomi.

- Otarł pot z czoła. - A przydałoby się, bo jednak sztorm nas chyba nie ominie.

Lizzie zrobiła sceptyczną minę.

- Na razie pogoda jest ładna.

- Ale ja pamiętam wczorajszy komunikat. Zapowiedano cyklony w tym rejonie.

Wzruszyła ramionami.

- Nie martw się. Stawimy burzy czoło!

Stawimy burzy czoło? A cóż to za frazes? Z której bajki? Pokręcił głową.

- Niełatwo nam coś takiego przyjdzie. Na tym wraku.

Rozejrzała się.

- Ten okręt nie wygląda na wrak. Za chwilę uruchomisz silnik i...

- I co?

- I jeszcze oboje zdążymy przed burzą lepiej się poznać. - Swawolnie znów uchyliła prześcieradła. - Moja oferta jest wciąż aktualna. Zapraszam.

Po tych słowach odwróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem na pokład. Uznała, że póki jest pogoda, warto się jeszcze trochę poopalać.

Lizzie przetarła spieczoną skórę wilgotną myjką, po czym włożyła na siebie dobrze już wyschnięte własne rzeczy, te, w których wczoraj wyłowili ją Jack. Pomyślała, że nie będzie więcej defilowała przed nim naga, bo on prawdopodobnie i tak nie da się na nic skusić.

Kiedy wyszła z łazienki, usłyszała jakieś głosy. Więcej niż jeden. Czyżby zostali uratowani...?

Pędem ruszyła na pokład i zobaczyła, że Jack rozmawia z jakimiś dwoma mężczyznami, którzy przycumowali do jachtu w małym kutrze rybackim. Jeden z tam-

tych, w brudnej mycce, chudy, miał oblicze ozdobione kozią bródką, drugi był masywnym łysoniem.

Jack stał tyłem i wykonywał takie gesty, jakby się bardzo cieszył z zaistniałej sytuacji. No tak, odstawił mnie zaraz na brzeg, pomyślała Lizzie, i będzie mógł wreszcie odzyskać tę swoją wymarzoną samotność.

Kiedy podeszła, chudzielec zasalutował do brudnej mycki.

- Szanowanko, szefowo... Kapitan nic nam nie mówił, że ma taką ładną lalunię na pokładzie.

Nie wiedziała, co odrzec. Kiwnęła tylko głową.

- Macie jakieś kłopoty? - dołączył się masywny. - Tak? My was możemy odholować do portu.

Lizzie odchrząknęła.

- Silnik nam się popsuł.

Jack posłał jej dziwne spojrzenie, jakby ostrzegawcze.

- Nie, nie - zwrócił się do obu żeglarzy. - Nie trzeba. Sami damy sobie radę. Wolelibyśmy nie przerywać naszej podróży poślubnej.

Podróży poślubnej... ? Co ten Ahab wymyślił?

Jack sięgnął za siebie ramieniem, objął Lizzie, przyciągnął ją i musnął jej usta pocałunkiem.

- ...Prawda, skarbie? - uśmiechnął się i zajrzał jej głęboko w oczy.

Znów nie wiedziała, jak zareagować. Co tu się właściwie dzieje?

- Idzie sztorm - chudy otarł sobie pot z czoła. - I paniusia nie przetrwa go na tej łajbie. - Zrobił współczującą minę. - Może przynajmniej ją odstawimy na ląd?

- Mowy nie ma - sprzeciwił się Jack. - Z zasady nie rozstaję się ze swoją żoną. Nigdy.

Zerknęła z ukosa. Podróż poślubna, żona... Brzmiało to coraz bardziej obiecująco.

- Ale może byście zawiadomili straż przybrzeżną, jak dopłyniecie - zaproponowała. - Ja i mój mąż będziemy wam wdzięczni.

Grubas wzruszył ramionami.

- Okej. Okej. - Po czym sięgnął do startera i uruchomił silnik kutra. - Zrobi się, czemu nie - powiedział. - Ale uważajcie - zatroskał się po ojcowsku. - Bo w komunikatach mówią o solidnym sztormie. Na pewno nie chcecie z nami płynąć?

- Absolutnie. - Jack uniósł dłoń w pożegnalnym geście. - I dzięki za dobre chęci.

- Aha, damy sobie radę - dołączyła się Lizzie. - Mój mąż świetnie się mną opiekuje.

Kiedy tamci odpłynęli, Jack puścił Lizzie i zamierzał odejść.

- Sekundkę, Ahabie.

Zatrzymał się i obejrzał.

- Słucham?

- Dlaczego nie chciałeś, żebym popłynęła z nimi?

Splótł ramiona na piersi.

- Bo widzisz... - sprawdził, czy ona serio pyta. - Daleko byś z nimi nie ujechała. Wykorzystaliby cię, a potem wyrzucili za burtę.

- Tak myślisz? A mnie się zdawało, że to byli porządni rybacy.

- Rybacy! Zauważyłaś u nich jakiś sprzęt rybacki?

Zmarszczyła czoło.

- No nie... Rzeczywiście nie. Ale właściwie nie przyglądałam się specjalnie.

- Za to ja się przyjrzałem. I jest spora szansa, że byli to szmuglerzy albo jeszcze gorzej.

- Może ich krzywdzisz - zastanowiła się Lizzie. - Może byli to całkiem niewinni...

- Niewinni! - zaśmiał się Jack. - Ty chyba nie wiesz, co takie niewiniątka potrafią zrobić z bezbronną kobietą.

- Wcale nie jestem bezbronna, Ahabie. Ani też naiwna.

- Oj, Dorotko. Jednak chyba za bardzo ufasz ludziom. Ze mną, chociaż figlujesz, nic ci nie grozi, ale z takimi facetami... Takich gości nie weźmiesz na piękne oczy.

Zamrugła rzęsami.

- A więc uważasz, że mam piękne oczy?

- Słucham? - spojrzał zaskoczony. - Ach tak. Rzeczywiście, masz bardzo ładne oczy.

Podeszła i zarzuciła mu rękę na kark.

- I co jeszcze mam ładnego?

- Lizzie, my teraz nie o tym...

Oparła się o jego pierś.

- A dlaczego nie o tym?

Westchnął.

- Kobieto, nie jestem z drewna - powiedział. - Nie dręcz mnie, nie stój tak blisko, bo ja już nie mogę...

Niechętnie odstąpiła.

- Rozumiem. Sytuacja jest poważna. - Oparła się

o reling. - A więc... jak wygląda w tej chwili ogólnie nasza sytuacja?

Spojrzał na nią.

- Gdyby szło o jacht - rozejrzył się - to trzeba zejść pod wodę i obejrzeć wał napędowy. Ale i tak nie ma pewności... - skrzywił się i machnął ręką. - Akumulatory są na wyczerpaniu. Do wieczora siadają. Słodkiej wody prawie nie mamy. Tyle co w butelkach, do picia. A w ogóle to dryfujemy na otwarte morze.

Skinęła głową. Niby przyjmowała to wszystko do wiadomości, ale się tym nie przejmowała. Bo była w niej silna wiara, że Jack zrobi jednak jakiś cud i uratuje zarówno ją, jak małego Hanka. No i może tamci dwaj nie byli wcale bandytami, zawiadomią kogoś w porcie i... Sięgnęła ręką do swego łańcuszka z medalikami. Relikwie po rodzicach nieraz jej pomagały, przypomniała sobie. W spadającym balonie zawołała na przykład „Mamo, ratunku” i zaraz pojawił się jacht Jacka na horyzoncie.

Uśmiechnęła się promiennie.

- A ja tam wierzę, że wszystko skończy się dobrze. Takie mam przeczucie.

Zajrzał jej w oczy.

- Oby. Oby. Potrzebny jest nam optymizm.

Położyła mu rękę na policzku.

- Zaufaj mi, Jack. I sobie zaufaj. Jestem pewna, że zrobisz wszystko, żebyśmy dopłynęli zdrowi i cali do domu. Ty, ja i Hank. Jestem pewna.

Patrzył, jak Lizzie schodzi pod pokład. Wydawała się wesoła. Tyle było ufności w jej oczach. I Jack poczuł,

że przygniata go ten jej lekki nastrój. Wiedział, że z morzem nie ma żartów. Nieraz się z nim mocował, a przydarzały mu się też poważne klęski. Jak choćby wtedy, gdy stracił dwójkę przyjaciół, członków załogi, wybierając między jednym złem a drugim. Kosztem ich ofiary uratowana została kobieta, która nie powinna się być w ogóle znaleźć na pokładzie. Upierała się, że popłynie, a on nie umiał jej odmówić. Do dziś przeklinał tamten swój brak charakteru.

A teraz na pokładzie jest inna kobieta. Dziewczyna w odmiennym stanie. Jednak Lizzie - zreflektował się - nie znalazła się tu przez swój upór, ale z wyroku losu. I w ogóle nie przypomina tamtej pasażerki. Przede wszystkim jest miła, przyjacielska, bezpośrednia... I nawet jej wady, wynikające ze zbytku erotyzowania, mogą wyglądać jak zalety.

Jack pomyślał, że trzeba zrobić wszystko, aby tej Lizzie nie zawieść. Miał nadzieję, że los im obojgu, a właściwie trojgu, będzie sprzyjał.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Siedzieli naprzeciw siebie przy stole w kokpicie i dojadali resztki gulaszu na zimno. W pomieszczeniu było mroczno, bo słońce już godzinę temu schowało się za grubymi chmurami. Co jakiś czas dawały się słyszeć dalekie grzmoty. Powierzchnia wody znów, jak wczoraj wieczorem, zrobiła się oleista.

Lizzie zmarszczyła nos, odsuwając talerz.

- Nie cierpię takich rzeczy.

Jack wstał i sięgnął do zawieszanej u powały lampy naftowej. Błysnął płomyk zapalniczki. W kokpicie pojaśniało.

- Wybacz, Dorotko. Ale przecież wiesz, co się stało. Akumulatory nam siadły, kuchnia nie działa. Został tylko gulasz w puszkach.

Wzruszyła ramionami.

- Mnie nie chodzi o gulasz. Tylko o to czekanie na nieznane. - Spojrzała ku lampie, a potem znów za Jacka. - Nie ma szans, żeby burza nas ominęła?

Jack chciałby jej powiedzieć, że są. Ale jak tu się sprzeciwiać faktom: przecież grzmoty już słychać coraz bliżej.

- Barometr poszedł gwałtownie w dół - pokazał

głową w stronę przyrządu wiszącego przy wejściu do sterówki.

- Znam się trochę na barometrach - Lizzie zabębniła palcami po stole. - Burza to dla człowieka w balonie najgorsza rzecz... - zawiesiła głos.

Skinął głową, usiadł i splótł ręce na piersiach.

- Czy jest coś - Lizzie znów zmarszczyła nos - co moglibyśmy teraz zrobić?

- Czy ja wiem - zastanowił się Jack. - Łódź, na ile się da, zabezpieczyłem...

Spojrzała na niego, potem strzeliła palcami.

- Myślę, że jest sposób na przetrzymanie tego czasu.

- Dorotko - pogroził jej palcem. - Ty zdaje się myślisz tylko o jednym.

Oparła łokcie na stole, ujmując twarz w obie dłonie.

- A właśnie, że nie - uśmiechnęła się. - Bo przyszło mi do głowy, że moglibyśmy zagrać w karty. Oczywiście, jeśli masz tutaj jakąś talię.

- Karty? No, karty by się znalazły.

- To świetnie! Co powiesz na partyjkę pokera?

Poruszył brwiami.

- Zgoda. Sięgnij do tej szuflady - pokazał. - Karty są tam, gdzie latarki.

Lizzie wstała, zgarniając tekturowe talerzyki, na których jedli.

- A o co będziemy grali? - zapytała.

Zastanowił się.

- Może pogramy na zapałki? Zapałek nam nie brakuje.

Wrzuciła tekturowe talerzyki do kubła. Wysunęła

szufladę i wybrała talię. Wróciła do stołu, niosąc też jedną z latarek.

- Przyda się do oświetlenia pola gry - powiedziała.

Jack schylił się, uniósł siedzenie ławy i z wewnętrznego schowka wydobył całą paczkę sztormowych zapałek.

- Są-pokazał.

- Trudno - westchnęła. - Jeśli nie można zagrać o coś lepszego...

- Na przykład?

- Nie miałbyś chęci na pokera... rozbieranego?

Nic nie odpowiedział. Potrząsnął tylko z dezaprobatą głową.

Lizzie rozpakowała karty, po czym z niespodziewaną wprawą potasowała je.

- Przełoż - poprosiła.

Zrobił to. Następnie rozerwał opakowanie sztormówek. Wysypał na stół zapałki i rozdzielił je na dwie części.

- Ile kart? - spytała Lizzie.

Zrobił niepewną minę.

- Może pięć?

- Dobrze, niech będzie po pięć.

Wpatrywali się przez chwilę w to, co im los zdarzył. Jack gratulował sobie w myślach, że skończyło się na pokerze, bo przecież mogło być gorzej. Gdyby ona się upierała przy swoich potrzebach... Przecież byjej nie odmówił. Nie odmawia się bez końca kobiecie... Sobie też by nie odmówił! Ale miałby nieczyste sumienie. I tak dalej.

- Dobieram - powiedziała Lizzie i umieściła porcję zapałek w banku. - Daj mi dwie karty.

- A ja pas - wruszył ramionami Jack. - Marne rozdanie...

- No to bank jest mój. - Lizzie zgarnęła zapałki. - Teraz ty potasuj... Dla wyrównania szans - uśmiechnęła się.

Pograli ze zmiennym szczęściem jeszcze przez pół godziny. Wkrótce Jack odkrył, że prawie wszystkie sztormówki przewędrowały na stronę Lizzie.

- No i co teraz? - pokazał z wyrzutem. - Ograłaś mnie.

- Wygląda na to, że tak - odpowiedziała. - Mogę ci trochę zapałek pożyczyć. Albo graj dalej na kredyt - zaproponowała. - Daj tu jakąś kartkę i pisaka.

- Kredyt... - zastanowił się. - A na jaki procent? Uśmiechnęła się.

- W razie czego przyjmę spłatę w naturze.

- Dorotko, ty ciągle swoje. To zaczyna być już groźne.

- Kapitanie, czym może ci zagrozić słaba kobieta?

Błysnęło za oknami, a po paru sekundach rozległ się grzmot.

Spojrzeli na siebie.

- No, lepiej grajmy - powiedziała Lizzie i przesunęła połowę swych zapałek na stronę Jacka. - Daj, ja potasuję.

W kolejnym rozdaniu on miał dwie dwójki, ona zaś kareta waletów. Potem on nic nie miał, za to jej się trafił od razu fuli.

- Ty chyba szachrujesz - pokręcił głową Jack i sięg-

nał po latarkę. - Zróbmy więcej światła, żebym ci mógł patrzeć na ręce.

- Wstydź się, Ahabie - potrząsnęła grzywką. - Masz u mnie długi, a chcesz mnie obrażać.

- Tak, to nielogiczne - przyznał. - Wobec tego przepraszam.

- Przepraszam z braku lepszych pomysłów... - skomentowała.

Minął kolejny kwadrans. Co chwila okna rozjarzały się od błyskawic, jak popsuty telewizor.

- Właściwie niepotrzebna ta latarka - powiedziała Lizzie. Po czym zgarnęła bank, bo znów szczęście jej dopisało.

Jack spojrział na resztkę sztormówek po swojej stronie.

- Wygląda na to, że mam dziś strasznego pecha.

Podniosła oczy.

- Mówią, że kto nie ma szczęścia w kartach, ten ma szczęście w miłości.

- E! - Jack machnął ręką.

- Jeśli znowu przegrasz, wezmę cię do niewoli - zapowiedziała Lizzie.

Zagrzmiało i zakołysało jachtem. W chwilę potem Jack rzucił karty. Podniósł obie ręce do góry.

- Koniec. Poddaję się.

Ona przeciągnęła się w krześle.

- No, to jesteś mój - powiedziała. I zaczęła się podnosić.

Przypatrywał jej się z niepokojem, przemieszonym z rosnącym podnieceniem. Już wiedział, że wszystkie

jego postanowienia wzięły w łeb. Kropla draży skałę: ta dziewczyna zwyciężyła.

Zaszła go od tyłu i objęła za kark. Potem wsunęła mu dłoń pod koszulę.

- No, niewolniku - szepnęła - rozbieraj się.

Spróbował się obejrzyć.

- Ale miało nie być pokera rozbieranego.

Ugryzła go lekko w ucho.

- Ja nic takiego nie przyrzekałam.

- Au. Ty wariatko. Nie wiesz, na co się narażasz.

- A cóż to może być... - przerwała, bo gdzieś nie- daleko rąbnął kolejny piorun - .. w porównaniu z tym, co się dzieje tam na zewnątrz?

Na zewnątrz: niby racja, uznał. Kto wie, czy świat w ogóle potrwa do jutra rana... A więc co: korzystajmy z życia? Podniósł się, ściągając koszulę. Przygarnął do siebie Lizzie. Zajrzał jej w oczy.

- Na pewno tego chcesz?

W odpowiedzi zaczęła ściągać własną koszulkę.

- Jestem już dużą dziewczynką i całkiem dobrze wiem, czego chcę.

Jack obejrzał się, pochylił i dwoma pociągnięciami przedramienia zepchnął ze stołu karty, zapałki, latarkę - wszystko. Wrócił do Lizzie, objął ją w pasie i przeniósł na blat. Posadził i przez chwilę przyglądał się jej, jakby była nowym rozdaniem w grze. Dama to, czy as... Może dzoker?

Między jej piersiami zauważył jakieś medaliki.

- Co to?

Spojrzała w dół.

- To na szczęście - uśmiechnęła się. - Pamiątka po rodzicach.

Pochylił się i zaczął to oglądać, przy okazji muskając dłonią dwie kragłości.

- I co, przynoszą ci szczęście?

Objęła go za głowę.

- Różnie. Zobaczymy, jak będzie dziś.

Sięgnął ku zapięciu stanika. Ale zatrzymał się i podniósł oczy.

- Na pewno tego chcesz? - powtórzył.

- Na pewno, na pewno - podała biust do przodu.

Jack rozpiął stanik. I oto miał przed sobą śliczny tors, naga, żywą rzeźbę, którą już niby widział, wczoraj i dziś, ale przecież nie z tak bliska. Poczuł, jak puls w nim gwałtownie przyspiesza. Uniósł od dołu dłońmi obie piersi, tak że spoglądały na niego swymi sutkami, płowymi jak brwi Lizzie.

- Piękne laleczki - szepnął. - Piękne.

Lizzie odchyliła się w tył, opierając się rękami na stole. Zakołysała ciałem.

- Zjedz mnie - powiedziała. - Jestem bardzo smaczna, zobaczysz.

Nachylił się posłusznie ku jej sutkom i zaczął ssać, raz jedną, raz drugą, na przemian pieszcząc je też palcami. Lizzie zaczęła wzdychać z rozkoszy. Uniosła uda i objęła nimi Jacka. Naparła na niego wzgórkami. Odpowiedział jej podobnym ruchem.

Lizzie sięgnęła do zapięcia swoich szortów. Pomógł jej, paroma gestami ściągając spodenki, rolując je wzdłuż pięknych nóg, aż spadły na podłogę.

Objął jej głowę i opadł ustami na jej usta. I pieściły się ich języki, łączyły oddechy, coraz szybsze i coraz głośniejsze. Oboje nie słyszeli już prawie, co się dzieje w zewnętrznym świecie. Potem Jack dwoma palcami, drobnymi kroczkami, zaczął wędrować w dół, przez krajobraz jej ciała, aż dotarł do źródła, które na niego czekało. Opuszkami palców okrążył je chwilę, błędząc w płowym lasku. Kiedy się troszkę zanurzył, Lizzie jęknęła. Zanurzył się znowu i nie przestawał już, czyniąc to rytmicznie do chwili, gdy przez ciało Lizzie zaczęły przebiegać dreszcze. Oddychała ciężko, zaciskając uda. Wreszcie bezwładnie opuściła głowę na pierś Jacka.

Kiedy złota mgła opadła trochę, Lizzie sięgnęła do zapięcia dżinsów swego utalentowanego niewolnika. Uporała się z metalowym guzikiem i zaczęła się zapoznawać z suwakiem. Jack ujął ją delikatnie za przegub.

- Może jednak nie - zamruczał. - W każdym razie nie tutaj.

- Dlaczego nie? - zapytała. Ona właśnie chciała wszystkiego teraz i tutaj... Nieważne, że marzyła kiedyś, iż utraci dziewictwo na pięknym łożu posypanym płatkami róży, nie jakimś stole w kokpicie łodzi... W tej chwili liczyło się tylko to, że był z nią kapitan Dunlap, który tak podobał się jej ciału. A może nie tylko ciału?

Nie zważając na opory mężczyzny, zamierzała do niego dotrzeć. Aby on mógł dotrzeć do niej, połączyć się z nią, po bożemu, o co wołał cały jej organizm.

Jack przestał walczyć. Oparł się obiema rękami o stół, pochylony nieco do przodu. Teraz Lizzie mogła

działać sprawniej. Zerknęła w górę. Jej kapitan zaciskał zęby, najwyraźniej walcząc z sobą. Obiema rękami ściągnęła z niego spodnie i szorty, popychając je w dół. Pocałowała się w palec wskazujący prawej dłoni, posyłając ów pocałunek czubkowi jego alter ego, po czym odchyliła się w tył na stole, opierając się na łokciach. Przesunęła się na sam skraj stołu, unosząc nieco biodra.

- No, chodź - szepnęła.

Zbliżył się posłusznie, ale zwlekał u wejścia do rajy, bo przecież nie wiadomo, co jest wspanialsze: mieć ciastko czy zjeść ciastko.

W tym momencie rozległ się suchy trzask i jachtem potężnie zakołysało. Lizzie chwyciła się mocno krawędzi stołu, który na szczęście był przysrubowany. Jack zatoczył się, na wpół spętany przez nie całkiem zsunięte spodnie. Ale złapał równowagę i natychmiast zaczął się ubierać.

- Co się stało? - wykrztusiła Lizzie.

- Ba! - Jack dopinał już suwak. - Skoczę na pokład i zobaczę. A ty zostań tutaj.

Ostrożnie zsunęła się ze stołu. Znalazła walającą się na podłodze koszulkę. Schylając się po nią omal nie upadła, tak czuła się osłabiona po pieszczotach. Wciągnęła majtki, przytrzymując się co chwila blatu. Słyszała, jak Jack tupie po pokładzie, biegając wzdłuż łodzi. Zastanowiła się, czy zgasić lampę naftową, kołyszącą się nad stołem w takt ruchów jachtu. Pomału wspięła się na krzesło i skręciła knot. Potem po omacku, wciąż na niepewnych nogach, ruszyła do wyjścia.

Jack prosił ją co prawda, żeby została na dole, ale

ona przecież nie może nie pomóc swemu kapitanowi, który tam na górze walczy o ich wspólne przeżycie. Co to, to nie. Chwyciła się swoich talizmanów na łańcuszku i wyszeptała kilka słów. I spłynęła na nią pewność, że oboje przetrwają tę burzę, że nic im się nie stanie... Dobre duchy nad nimi czuwają. Lizzie uśmiechnęła się do siebie w ciemnościach i pchnęła drzwi prowadzące na zewnątrz.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Walcząc z wichrem i bryzgami pian, Jack starał się postawić kliwer sztormowy. Mokry szot wymykał mu się z ręki, oślepiały go błyskawice. Ale i tak był szczęśliwy, że piorun, który przed chwilą łupnął tuż koło jachtu, nie trafił w pokład, bo byłoby zapewne po nich.

Wreszcie szot kliwra został umocowany. Wracając biegiem do koła sterowego, Jack nie mógł nie pomyśleć o pewnej nie tak dawnej burzy, gdy regaty, w których brał udział, zakończyły się tragicznie. Obrazy owych wydarzeń wciąż były w nim żywe i prześladowały go, w snach i na jawie.

Złapał się steru i próbował na wyczucie ustawić łódź dziobem pod fale, bo w takiej pozycji możliwość wywrócenia była najmniejsza. Wtem usłyszał głos Lizzie. Błysnęło na niebie i zobaczył ją samą, wynurzającą się z kokpitu. Jezus, Maria, a po cóż ona tutaj?

- Wracaj na dół! - krzyknął.

Nie usłuchała go. Ruszyła w jego stronę.

- Chcę ci pomóc!

- W niczym mi nie pomożesz. Uciekaj, pókiś cała!

Na pokład wdarła się właśnie gwałtowna fala, która podcięła Lizzie nogi. Jack zaklął, puścił koło sterowe i rzucił się naprzód. Podnosząc ociekającą wodą dziew-

czynę, zawadził o coś ręką. W następnej chwili zrozumiał, że zerwał jej z szyi łańcuszek. Lizzie złapała się za kark.

- Gdzie moje talizmany?

- Fala je zmyła. - Jack otoczył Lizzie ramieniem.

Ona rozcierała kark i powtarzała:

- O Boże. O Boże.

Czemu się tak przejęła tymi medalikami? On kupi jej sto takich błyskotek, kiedy już staną na lądzie. Ba, kupi jej też sto nowych balonów, jeśli będzie trzeba.

- Wracaj pod pokład - powiedział.

- Dobrze, ale tylko z tobą - przytuliła się do niego.

Nowa góra wodna natarła na jacht. Jack mocno uchwycił reling.

- Ja muszę pilnować kursu! - krzyknął. - A ty pomyśl o swym dziecku.

- Przecież możesz pokierować łodzią ze sterówki.

Rzeczywiście, mógłby. Nawet po to kupił sobie taki jacht, a nie inny: aby nie być zależnym od kaprysów pogody. A jednak chciał teraz pozostać przy zewnętrznym sterze i trudno by mu było dokładnie wytłumaczyć dlaczego. Czy chciał powalczyć z demonami natury, twarzą w twarz, równocześnie walcząc ze swoją pamięcią...?

Daleka błyskawica rozjarzyła niebo. W jej sinym blasku Jack dostrzegł cień złości w twarzy Lizzie. Złościła się chyba pierwszy raz, odkąd zawitała na tę łódź.

- Dobrze, ja zejdę - powiedziała. - Zrobię to dla mojego Hanka. Ale ty jesteś głupi, że tak ryzykujesz.

- Przyjdę, jak będę mógł.

Szarpnęła się w jego objęciu.

- Chcesz mi coś udowodnić? - zapytała. - Albo sobie? Ze jesteś twardy? Że jesteś wielkim wilkiem morskim? - Wjej głosie była uraza. I zaraz wywinęła się Jackowi i pobiegła do trapu, prowadzącego na dół.

Jack wrócił do koła sterowego. Ale właściwie po co, zastanowił się. Przecież nie ukaże mi się tu żaden duch oceanu i nie powie: brawo, chłopie, jesteś dzielny, przezwyciężyłeś dawne błędy... Co jest ważniejsze: moje przywidzenia, walka z przeszłością, czy solidarność z tą dziewczyną pod pokładem, która potrzebuje pomocy?... Ba, sam potrzebuję tej dziewczyny, pomyślał Jack. I ten nagły wniosek olśnił go jakoś. A wydał mu się nie mniej jaskrawy i przeraźliwy, niż wszystkie błyskawice na niebie. Właśnie taki: jaskrawy i przeraźliwy. Jaskrawy i przeraźliwy.

Lizzie, cała mokra, rzuciła się w kąt ławy. Przycupnęła, podciągając kolana. Czuła się okropnie samotna. Zacisnęła powieki i zaczęła się modlić. Odruchowo sięgnęła do swych medalików, ale przecież nic nie znalazła. Cicho zaklęła. A co będzie, pomyślała, jeśli straci Jacka, tak jak straciła talizmany? Poczuła, że ma pod powiekami gotowe łzy.

Zacisnęła zęby... Co za głupiec! Kogo on chce udawać? Wielki Ahab, wilk morski... A tak naprawdę duży chłopiec. Wciąż jeszcze bawi się w tę jakąś swoją przygodę, ucieka od czegoś, walczy z widmami. Zamiast zająć się rzeczami realnymi, ewentualnie osobami, na przykład nią, Elizabeth Matheson.

Otarta łzy. Pomyślała o straconych pamiątkach po rodzicach. Czy wraz z tymi symbolami przypadnie dobry los? Znow zaczęła się modlić, za siebie, Hanka i za Jacka, być może najbardziej za Jacka, który tam na górze potrzebował szczególnego wsparcia.

Minęło trochę czasu. Lizzie wzdrygnęła się. Ogarnął ją chłód. Wymacała jakiś pled i otuliła się nim. Równocześnie impet burzy jakby osłabł. Czy może było to tylko przywidzenie? Bezładna szarpanina łodzi na falach zamieniła się w rodzaj równomiernego kołysania. Wycie wichru przycichło.

Dały się słyszeć kroki Jacka. Otworzyły się drzwiczki prowadzące do kokpitu. A więc jednak wraca, pomyślała Lizzie.

Jack zbiegł po schodkach, zdarł z siebie płaszcz sztormowy i na pamięć odnalazł ławę. Za oknami znow błysnęło.

- A, tu jesteś - powiedział i usiadł obok Lizzie.

Ona przyklękła na ławie i położyła mu rękę na ramieniu. Sięgnął dłonią i ujął ją za przegub. Przez chwilę trwali tak, w milczeniu, przeżywając odzyskaną bliskość.

- Nic ci się nie stało? - szepnęła.

Puścił ją i pochylił się w przód, opierając łokcie na kolanach i ujmując głowę w obie ręce.

- Nie jestem pewien - powiedział - ale zdaje się, że burza zrobiła sobie przerwę.

Lizzie przytuliła się do niego.

- A więc pobędziesz trochę ze mną. - W jej głosie dosłyszalny był jakby cień uśmiechu.

Wyprostował się i objął ją.

- Miałaś rację - westchnął. - Tam na górze próbowałem sobie coś udowodnić.

- Co?

- Ze tym razem burza nie da mi rady.

Uniosła głowę.

- Tym razem?

- Ano tak. Bo już kiedyś był taki sztorm.

- Kiedyś...? I co się wtedy stało?

Wzruszył ramionami.

- Wolałbym o tym nie mówić.

Ledwie się powstrzymała, żeby go nie uszczypnąć. Bo kto powiedział „a”, powinien też powiedzieć „b”.

- Czy to z powodu tamtych przeżyć tak uciekasz od ludzi?

Znowu wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie chcę...

- Ale ja chcę - pociągnęła go za ramię. - Chciałabym się o tobie wreszcie czegoś dowiedzieć

- Dowiedzieć czegoś o mnie? Dlaczego? Po co ci to?

- Dlatego, że... - Że zaczynam cię kochać, pomyślała. - Bo zawsze mi żal samotnych ludzi.

- Mówiłem ci już, że ja lubię być sam. I że dobrze mi z tym.

- Wolisz być sam, w to wierzę. Ale nie uwierzę, że naprawdę lubisz być. Tułasz się w pojedynkę, bo próbujesz siebie za coś ukarać. Prawda...? Za co?

Kilka razy głęboko westchnął.

- Ech, to dawna historia. Już nieaktualna.

- Jak to nieaktualna? Jeszcze przed chwilą walczyłeś ze sobą i z tą głupią burzą, tam na górze, a teraz nagle...

Przygarnął ją.

- Masz rację. Jestem nielogiczny.

- A więc...?

- No dobrze, powiem. Czuję się odpowiedzialny. Rok temu, u wybrzeży Australii, straciłem załogę. Podczas regat.

- Zginęli z twojej winy?

W milczeniu pokiwał głową.

- Sztorm był taki jak dziś.

Zapaliła się błyskawica. Lizzie zauważyła w twarzy Jacka cierpienie.

Objęła go za szyję i przycisnęła do siebie.

- A twoja wina? Na czym polegała?

Chwilę milczał. Widać było, że niełatwo przychodzi mu te wszystkie wyznania.

- Widzisz... - zawiesił głos. - Zabrałem na pokład pewną osobę, która nie powinna była z nami popłynąć. I to przez nią...

- Kto to był?

- Moja narzeczona.

Narzeczona? Jack jest zaręczony? Czy może już nawet...

- Jack, on jest teraz twoją żoną?

- Nie. Nie, sprawy nie zaszły tak daleko. Ona po tamtej katastrofie miała mnie od razu dosyć i odeszła. Wysłała za kogoś bardziej... statecznego.

A więc Lizzie nie myliła się, przypuszczając, że Jack może cierpieć z powodu złamanego serca, w każdym

razie z powodu wstrząsu spowodowanego stratą. I była go zdolna zrozumieć: w końcu sama niedawno straciła ojca. Jednak dla niej cios życiowy nie mógłby się nigdy stać powodem wycofania z życia. Wycofywać się? Na pewno nie spodobałoby się to staremu Hankowi Mathesonowi.

Nagle Jack wstał. Wyciągnął do Lizzie rękę.

- Chodźmy - powiedział.
- Gdzie chcesz iść? - zapytała.
- Przecież widzę, że jesteś mokra. Musisz zdjąć wszystkie te rzeczy i ogrzać się. Ja cię ogrzeję. W łóżku.

Było to niespodziewane i jakże kuszące.

- Ale porozmawiamy jeszcze, dobrze? - zapytała Lizzie.

Milczał chwilę.

- Dobrze, ale tylko na migi.
- Na migi?
- Nie chcę wracać do swoich upiorów. Będziemy dla siebie mili, to wystarczy.

- A co z burzą?

- Burzą? - Pochylił się ku iluminatorom. - Wygląda na to, że się chwilowo skończyła - powiedział. - Niebo się przeciera.

Skończyła się burza na morzu, ale nie skończyła się przecież w tym mężczyźnie, pomyślała Lizzie. Jednak postanowiła nie naciskać Jacka. Nie chce się dalej zwi-
rzać - trudno. Rozmowa na migi też może być ciekawa.

Ujęła go za dłoń i oboje ruszyli do sypialni, którą Lizzie zdażyła już wczoraj poznać. Weszli do pomiesz-
czenia wypełniającego się właśnie łagodnym, księżycy-

wym światłem, sączonym przez okrągłe szybki. Zaczęli z siebie nawzajem ściągać wilgotne rzeczy. I o dziwo, w tym striptizie nie było chwilowo nic erotycznego. Może oboje byli zanadto zziębnięci.

Lizzie pierwsza wskoczyła pod pled. Jack ułożył się obok niej, na plecach. Przez chwilę wstrząsały nim dreszcze.

- Zaziębiłeś się? - zapytała.
- Nie sędzę - pokręcił głową. - To z wrażenia.
- Z wrażenia?
- Bo w tobie jest jednak coś niesamowitego, Dorotko.

Zdziwiła się. Czyżby miała ją za nienasyconą? Może pomyloną? W istocie cały dzień, a zwłaszcza przed godziną, na tym stole, zachowywała się dość wyzywająco... Choć zarazem w sposób całkiem dla siebie nietypowy, o czym tylko ona wiedziała.

Obróciła się na bok i podparła głowę ramieniem.

- Mylisz się, Ahabie, nie ma we mnie nic niesamowitego. Jestem całkiem zwyczajną dziewczyną.

- Uhm. Akurat... Zwyczajny to jestem ja.

Zaśmiała się.

- Oczywiście. Ty zwyczajny... Normalny facet, człowiek jak każdy inny, który włóczy się od roku sam po oceanie. To jest jego praca, takie są obyczaje przeciętnych ludzi.

Nic nie odpowiedział.

- Obiecałeś nam konwersację na migi - przypomniała. - Miałeś mnie ogrzać...

Objął ją.

- Racja. A więc się przytul.

Leżeli przez moment nieruchomo.

- A może wolałbyś teraz po prostu zasnąć? - zapytała.

- Nie zasnę - odpowiedział. - Mam w głowie zamęt.

- Spróbuj liczyć barany. Albo butelki rumu. Żeglarze liczą przed zaśnięciem butelki rumu, prawda?

Westchnął.

- Wiesz o czym myślę? - pocałował ją w czoło. - O tym, że prądy odpychają nas cały czas od lądu.

- Ach tak... Ale przecież w końcu ktoś nas znajdzie, prawda? Albo tobie uda się uruchomić silnik.

- Znajdzie, nie znajdzie... A jeśli nie znajdzie?

- Ja ci mówię, że znajdzie. Mamy to jak w banku.

Chyba mi wierzysz?

Zobaczyła na jego ustach lekki uśmiech.

- No, skoro ty tak uważasz, Dorotko...

- Oczywiście, że tak uważam, Ahabie.

Lizzie powiedziała to i zaraz zdała sobie sprawę z tego, że chce i nie chce szybkiego zakończenia tego rejsu. Bo cóż ją czeka na lądzie? Niewątpliwie rozstanie z Jackiem. No tak, ale przecież jest jeszcze mały Hank. Jej największa nadzieja i pociecha na przyszłe życie. A więc dobrze: muszą dotrzeć do brzegu, aby mogła się zacząć przygoda z owym małym chłopczykiem.

Teraz zaś trzeba chyba zasnąć?... Bo najwyraźniej nie będzie już żadnej „rozmowy na migi”. Jack nie jest w nastroju. Cóż: wobec tego śpijmy! I Lizzie zacisnęła powieki, moszcząc się w objęciach opiekuńczego kapitana Dunlapa.

Ona już spała, a on wciąż rozmyślał. Starał się nie poruszać, żeby jej nie zbudzić. Miał wielką chęć na dokończenie spotkania zaczętego przy stole, a raczej na stole, na „porozmawianie na migi”, jednak zdemobilizowały go różne obiekcje. Nic nowego: nad wszystkim górowało poczucie odpowiedzialności. Powiedzmy, że zaczęliby gorący romans: i co dalej? Ta kobieta jest w ciąży, ale chyba nie czuje się związana z ojcem małego Hanka. Czy chciałaby się związać ze mną?... Niewykluczone. A ja? Czego chcę ja?

Jack cicho westchnął. Otóż sam nie bardzo wiedział, czego ostatnio w ogóle chce od życia. Pragnąłby mieć czyste sumienie... I czuć się wolny... Być panem samego siebie. Ale być panem siebie to znaczy nie ulegać pokusom. Na przykład takim, jak ta Elizabeth Matheson.

Obrócił głowę i przez chwilę przyglądał się twarzy uśpionej. Śliczna twarz. Taka spokojna w świetle księżyca. Poczuł, że jeśli wygra z wabieniem tej nimfy morskiej, będzie to największe zwycięstwo, jakie dotąd odniósł w życiu.

Lizzie obudziła się i zaraz wyciągnęła rękę, szukając Jacka. Koja była jednak pusta. Gdzież on zniknął? Uniosła głowę i zobaczyła, że jej kapitan stoi przy iluminatorze, obserwując morze. Był chyba świt; szkło sączyło różowawo-błękitne światło. Czyste światło. A więc jest pogoda? Byłoby to bardzo miło.

Bardzo miło było też widzieć nagą postać Jacka, wąskiego w biodrach, szerokiego w ramionach, śniade-

go, nieopalonego tylko na pośladkach. Pływa samotnie, a nigdy nie opala się nago, pomyślała Lizzie. Cóż za skromny chłopiec... Zapragnęła nagle pogłodzić tego Adonisa i nie tylko pogłodzić: koniecznie połączyć się z nim! Ale jak do tego doprowadzić? No cóż, od czegoś trzeba zacząć.

Po cichu wywikłała się spod pledu, wstała z łóżka i zaszła Jacka z tyłu. Objęła go w talii i przycisnęła się do niego.

- Wcześniej się budzisz - powiedziała.

Zaśmiał się bezgłośnie, opierając się oburącz o obramienie iluminatora.

- Obaj się budzimy - obejrzał się do tyłu.

- Obaj? A! - i zsunęła ręce po płaskim brzuchu Jacka w dół, tam gdzie jego alter ego rzeczywiście wydawało się solidnie pobudzone. - Brawo - szepnęła.

Ujął ją za przeguby i skłonił do przesunięcia rąk wyżej.

- Przyglądałem się pogodzie - powiedział. - A teraz - znów odwrócił głowę - powinienem chyba pójść na pokład. Trzeba sprawdzić, w jakim stanie jest łódź.

Przywarła ustami do jego pleców.

- Na pokład... A nie zawadziłbyś po drodze o nasze łóżko?

- Łóżko? Po co? Nie chce mi się już spać.

- Mnie się też nie chce.

Napiął się jak do odejścia. Na razie jednak zrezygnował.

- Dorotko, jeśli teraz pójdziemy do łóżka, wiesz, co będzie dalej.

- No właśnie. I o to chodzi.
- Ale czy naprawdę tylko o to ci chodzi?
- Tylko? Owo „tylko” to wcale nie mało... Zresztą, jeśli boisz się jakichś „komplukacji” to przyrzekam, że nie będzie żadnych.

- Ale ja ci nie mogę nic przyrzec.
- Owszem, mógłbyś mi przyrzec, że przestaniesz dzielić włos na czworo. Chodź, zrobimy to, po prostu. Bez filozofowania.

Dreszcz przeszył jego ciało i Lizzie odgadła, że jeszcze chwila - a on będzie jej. Podrapała go lekko w plecy, tak jak się to robi z dziećmi.

- No - zachęcała.
- A co z twoją ciążą? - westchnął. - Nie chcę ci zrobić krzywdy.

- Jack, to jakieś przesady. Czy ty w ogóle jesteś uświadomiony?

Niespodziewanie obrócił się w jej objęciach, pochylił głowę i pocałował ją w usta. Potem chwycił Lizzie na ręce, zrobił dwa kroki i ułożył się wraz z nią na koi.

Nareszcie, pomyślała. Zaczęło się... I rzeczywiście się zaczęło, Jack pieścił jej piersi, całował ją od stóp do głów, ocierał się o jej okrągłości jak delfin o fale. Łódź zaczęła się kołysać, tym razem jednak nie z powodu ruchów morza, ale poczynąń jej załogi.

- Coś ci powiem - szepnęła Lizzie. - Coś ważnego. Podniósł głowę.

- Co? Chcesz, żebym przestał?

Pocałowała go.

- Broń Boże. Ale jest coś, co cię może zdziwić...

- W tobie?

- No tak, we mnie.

Spróbował się skupić.

- W porządku, słucham.

- Pamiętasz, jak zapytałeś, kto jest ojcem mego dziecka?

Skinął głową.

- Uhm.

- I tu się zaczyna komplikacja, bo ja go wcale nie znam.

- Jak to nie znasz?

- On jest dla mnie tylko numerem, niczym więcej.

- Numerem czy numerkiem? Byłaś z nim tylko raz?

To chcesz powiedzieć?

- To były trzy razy. Zaszłam w ciążę za trzecim razem.

Uniósł się i oparł na łokciu.

- Nic nie rozumiem, Dorotko.

Uśmiechnęła się.

- Wylosowałam go, i stąd numer. Kryptonim J-34571. Osobiście nigdy go nie poznałam, weszłam tylko w intymny kontakt w jego nasieniu.

- Zaraz, zaraz - zmarszczył czoło. - Więc ty chcesz powiedzieć, że...

- Właśnie. Że dałam się sztucznie zapłodnić. Taki mi przyszedł do głowy pomysł na życie. Na życie Hanka.

Jack pokiwał głową.

- No, no... Ale właściwie czemu nie? - Uśmiechnął się. - I wiesz, co ci powiem? - Opadł na plecy. - Czuję, Dorotko, że mi jakoś ulżyło.

- Naprawdę?

- Uhm. Bo cały czas wydawało mi się, że ktoś stoi między nami. Jakiś mężczyzna, do którego wrócisz tam, na ładzie.

- No widzisz. A tu nie ma żadnego mężczyzny. Jeśli nie liczyć małego Hanka.

Podniósł się i polizał ją w rąbek ucha.

- Cieszę się. Szczerze.

Ujęła jego twarz w obie ręce i przymusiła, aby jej spojrzął w oczy.

- Ale jest jeszcze jeden drobiazg.

Uniósł brwi.

- Już tylko jeden? Na pewno?

- Już ostatni - opuściła rzęsy. I patrząc skosem w dół, powiedziała: - Ja jeszcze nigdy w życiu się nie kochałam.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Równie dobrze mogłaby go podstępnie zepchnąć z pokładu łodzi do zimnej wody.

Dziewica w ciąży: Jack czytał o takich rzeczach, ale tylko w powieściach fantasy, no i w katechizmie. A tu proszę: życie przegania wszelkie fantazje.

Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

W dodatku ta dziewczina jest dosyć mało świątobliwa... Jak to wszystko objąć rozumem? Jack usiadł i oparł się o wezłowie. Końcami palców zaczął pocierać czoło.

- Mam nadzieję, że nie czujesz się zniechęcony?

- Lizzie przysiadła obok niego. - Masz szansę być moim pierwszym.

Zerknął na nią. Promień słoneczny oświetlał właśnie wyzywająco czubki jej piersi.

- Poczekaj. Muszę sobie coś przemyśleć.

- Dobrze, myśl. Wytrzymam to.

Ale czy ja to wszystko wytrzymam, zapytał sam siebie Jack... Kusi mnie dziewczina w ciąży. Która spadła z obłoków, bo jest aeronautką. A teraz oboje płyniemy łodzią, nad którą nikt nie panuje. Wczorajszy sztorm oszczędził nas, ale nie wiadomo co będzie, gdy zdarzy się nawrót?

- Hej, Jack - przytuliła się do niego. - Coś taki marnotny? W końcu nie czeka nas koniec świata, a tylko koniec mego dziewictwa.

Postarał się uśmiechnąć. Objął ją.

- Ale dlaczego wybrałaś sobie właśnie mnie?

Wzruszyła ramionami.

- A dlaczego nie?

Dlaczego nie? Tutaj gotów byłby jej podać szereg powodów: po pierwsze nie zasługiwał na taki honor. Po drugie - przydałby jej się w tej chwili partner, z którym mogłaby wiązać nadzieje na przyszłość - gdy z nim samym takie nadzieje trudno wiązać. Po trzecie...

Przerwała mu kolejną porcję rozmyślań pieszczotami, które zmierzały najwyraźniej do podtrzymania ognia, gotowego przygasnąć wskutek zbytku czynnika intelektualnego.

- Ze też ja cię muszę tak namawiać - szepnęła. - Jakbyś to ty był dziewicą, nie ja. Bardzo dziwny z ciebie mężczyzna. - Ułożyła się na plecach i przyciągnęła go do siebie. - No chodź.

Podążył za nią, ale niespiesznie. Po czym zaczął się z nią trochę bawić, trochę ją pieścić, trochę jakby rzeźbić dłonią, którą wodził po jej kształtach z miną artysty. Kiedy połaskotał Lizzie językiem w podbicie stopy, zachichotała.

- A więc masz łaskotki - zapytał, czy raczej stwierdził. - I gdzie my tu jeszcze mamy łaskotki? - Powędrował czubkiem języka wzdłuż prawej łydki, przez kolano, ku wewnętrznej stronie uda. Lizzie ucichła i objęła jego głowę. On, posłuszny sugestii jej palców, po-

sunął się w stronę delty, bardzo już wilgotnej. Zamieszkał w niej na dłuższą chwilę, doprowadzając Lizzie na skraj rozkoszy.

Kiedy wyciągnął rękę i objął jej pierś, pocierając kciukiem i palcem wskazującym sutkę, nie wytrzymała i z jękiem oddała się uniesieniu, zaciskając uda.

Przez chwilę leżała z zamkniętymi oczami. Potem westchnęła i uchyliła powiek.

- A ty? - zapytała. Uniosła głowę i spojrzała w dół.

- No, widzę, że on jest pod pełnymi żaglami. Płyńcie więc, chłopcy. Pora.

Uśmiechnął się. Pierwszy raz był z kobietą, która miała taką fantazję, żeby zasugerować osobną tożsamość jego męskości.

- Naprawdę nas chcesz? - zapytał.

- Chodźcie, chodźcie, dość gadania. - Lizzie zamknęła ponownie oczy. Uniosła uda i objęła nimi Jacka w pasie.

Miał chęć wtargnąć w nią natychmiast, ale skrzywdziłby przecież swoją dziewicę. Wobec tego zagościł najpierw ostrożnie w jej przedsionku. Pomarudził tu, poczekał. Głaskał przy tym Lizzie po głowie, całując ją w zaróżowiony policzek.

- Nie boli? - zapytał.

- Nic a nic - szepnęła.

Milimetr za milimetrem skradał się dalej, usiłując zapanować nad rosnącym podnieceniem. Kto wie, może uda się taka sztuka, żeby zrobić z Lizzie zupełną kobietę bez sprawiania jej przykrości?

Oj, chyba nie, bo nagle się skrzywiła. Opuściła uda.

Jack natychmiast się zatrzymał.

- Jednak boli?

- Nie ma róży bez kolców - szepnęła. - Jak mówią. Sięgnął ręką do miejsca, gdzie byli złączeni, i pomasażował troszkę.

- Chcę, żeby ci było dobrze. Wyłącznie. - ...Tak dobrze, jak było w tej chwili jemu samemu. Tak wspólnie jak jemu.

Poczuł, że ona się otwiera, odpręża. Podjął więc dalszą podróż, równie ostrożną jak dotąd. Lizzie znowu uniosła biodra i oddychała coraz prędzej. Wkrótce jej wnętrze zaczęło pulsować. Osiągnęła drugi orgazm, któremu Jack miał ochotę zawtórować. Ale jeszcze większą ochotę miał poczekać do trzeciego razu. Do trzech razy sztuka...

Nie wycofywał się, czekał tylko, aż Lizzie ochłonie. Było mu błogo w jej rajskim wnętrzu. Równocześnie dobrze też było na zewnątrz, gdzie okiem podziwiał krajobrazy jej ciała, wdychał jego aromaty, słyszał westchnienia i podziemny puls serca. Okropnie chciał się już przyłączyć do tego piękna, wcielić się w nie, przestać być sobą.

Lizzie uchyliła powiek.

- Na co czekasz? - szepnęła. Pocałowała Jacka i zaczęła poruszać miednicą. Patrzyła mu w oczy i oddychała razem z nim. I to spojrzenie, razem z oddechem, porwały go. Nagle zapadł się w jakąś otchłań, wybuchnął, uleciał, nie wiadomo gdzie. Znikło tu i teraz.

Kiedy się pozbierał, pomyślał, że to wielce mądre powiedzenie, to iż dobrymi chęciami piekło jest bruko-

wane. Po doświadczeniach ze swą byłą narzeczoną nie zamierzał już nigdy poddać się kobiecie, choćby i Lizzie Matheson, oddać się jej bez reszty. A teraz proszę: zapomniał się, na amen. O całym świecie zapomniał. Na chwilę przestał istnieć.

Przygarnął Lizzie. Chciałby jej powiedzieć coś miłego, ale nie wiedział co. Wiedział tylko, że mimo wszystko dobrze by było nie dać się usidlić. Na szczęście ta dziewczyna niczego nie żąda oprócz pieśczot. Bardzo dziwne. Ona cała jest dziwna. Na tyle niezwykła, że Jack był pewien, iż nigdy jej nie zapomni. Rozstaną się, każde pójdzie w swoją stronę, lecz on jej nigdy nie zapomni.

Po krótkim, słodkim śnie w ramionach Jacka Lizzie się obudziła, by stwierdzić, że jej czarodziej znowu gdzieś zniknął. Tak, bo przecież to jest czarodziej: zrobił z niej kobietę prawie bezboleśnie. Lizzie przeciągnęła się i odrzuciła pled. Poczuła, że w kajucie jest gorąco. Słońce stało już wysoko i dogrzewało przez iluminatory niczym w oranżerii.

Podniosła się i westchnęła. Czuła się osłabiona, a równocześnie jak nowo narodzona. W istocie narodziła się na nowo, przeszła wtajemniczenie. Znormalniała. Bo nie jest już dziewicą w ciąży, dziwną istotą nie z tego świata. A jej czarodziej... Uśmiechnęła się do siebie. Podziękowała w myślach losowi, że na pierwszego kochanka dostała od niego kogoś, kogo rzeczywiście można kochać.

- Bo ja go kocham - szepnęła cicho Lizzie. Nawet, gdyby on mnie nie kochał, pomyślała.

Schyliła się i w jednej z szafek przyśrubowanych do podłogi znalazła kolekcję koszulek Jacka. Wybrała coś na chybił trafił. Wciągnęła to przez głowę i ruszyła do kuchni. Nikogo tam nie zastała. Zastanowiła się, co powinna najpierw zrobić: poszukać kapitana? Wziąć kąpiel? Ale przecież nie ma słodkiej wody; do kąpania się jest w pobliżu tylko morze. Czuła się też bardzo głodna.

Postanowiła zacząć od śniadania. Dlaczego od śniadania? Bo do nakarmienia jest na przykład mały Hank... Byłoby rzeczą nieodpowiedzialną głodzić biedne dziecko.

Wyszukała sobie w spiżarni puszkę brzoskwiń. Był też chleb tostowy. Wydawał się starawy, ale na szczęście nie spleśniały. Do picia Lizzie wyłuskała ze zgrzewki butlę wody mineralnej. Popijając wodą chleb z brzoskwinia, puściła wodze fantazji. Wyobraziła sobie, że je soczysty stek, oczywiście drobiowy. A do tego... Niechby była i ta brzoskwinia. No i koniecznie dzbanek parującej kawy.

Nasyciwszy pierwszy głód, pobiegła do łazienki, aby zrobić ze sobą taki porządek. Jakimś cudem była woda w spłuczce: zapewne morską.

Potem ruszyła na pokład. Wychynawszy z kokpitu, rozejrzała się. Gdzież ten Jack? Zastanowiła się zarazem, jakimi słowami powinni się przywitać. Co się mówi pierwszemu kochankowi na pierwsze dzień dobry? Wzruszyła ramionami. Najlepiej chyba nic nie mówić, tylko się przytulić... Ale gdzież ten Jack?

Usłyszała jakieś parskania na rufie. Skierowała tam kroki i ujrzała kapitana w przykłęku tuż nad wodą.

Ochlapywał się, namydłał, był nagi. Piękny, jak bóg morski. Zręcznie operował myjką. Patrzyła przez chwilę, oparłszy się o reling. Chciałaby być tą myjką, chciałaby wędrować po jego ciele od stóp do głów, robiąc istotny przystanek w połowie drogi... Jack klęczał odwrócony, czerpał wodę dłonią; pokład w tym miejscu był niski.

Lizzie uznała, że dość tego podglądania; pora się ujawnić. A jednak dalej stała nieporuszona, podlegała czarowi, obserwowała choreografię kąpielową jak przedstawienie na ekranie. Nagle zdała sobie sprawę, że bardzo dawno już nie widziała telewizji. I może stąd ten głód oczu?... Musimy karmić wszystkie zmysły, chce nam się dotykać, słyszeć, smakować i nade wszystko widzieć, widzieć, widzieć.

Jack wypłukał myjkę i wrzucił ją do plastikowego wiaderka, które stało obok. Osuszył się ręcznikiem i sięgnął po szorty. Wciągnął je i dopiero wtedy zrobił w tył zwrot.

Nie wydawał się zaskoczony, ujrawszy Lizzie. Uśmiechnął się, podciągając powoli suwak spodnek.

- Cześć - powiedział. - No i jak tam?

Ruszyła pomału w jego stronę.

- Nieźle - zatrzymała się tuż przed nim. - Cześć. A w ogóle, to też bym się chciała tak wykapać.

Powiedziała „nieźle”, lecz właściwie miała ochotę rzucić mu się na szyję i krzyknąć „pysznie, bosko!”. Albo „Jack, kocham cię!”. Jednak instynkt kazał jej powściągnąć entuzjazm.

Jack skinął głową.

- Świetnie, kap się. Ale odradzałbym ci słoną wodę.
- A jest tym morzu jakaś inna?

On schylił się i wyciągnął z wiaderka pół butelki wody mineralnej.

- Przyniosłem to z sobą, żeby ci się ogrzało na słońcu. A tu masz miękką gąbkę. Możesz się odświeżyć na pokładzie albo pod pokładem, gdzie wolisz.

Pod pokładem? Po co? Nie chciała się chować przed Jackiem. Przed chwilą byli jednym ciałem. Teraz zaś miałyby się zacząć wstydzić? Nonsens. Zaczęła ściągać koszulkę.

On oparł się tyłem o reling.

- Spójrz na słońce - powiedziała. - Mamy je po lewej stronie. Udało mi się jednak ustalić kurs na ląd. Ten kliwer do czegoś się przydał.

Prawie go nie słuchała. Zaprzętała ją myśl, czyjemu będzie równie przyjemnie oglądać ją w roli nagiej nimfy morskiej, jak jej było przyjemnie widzieć go w roli pluskającego się trytona.

Schyliła się po butelkę, odkręciła ją, połała gąbkę wodą. Spojrzała na Jacka. On milczał teraz i jak zahipnotyzowany obserwował jej ruchy. Wiedzioną impulsem wręczyła mu gąbkę.

- Do dzieła, kapitanie. Ponaprawiaj szkody, jakieś wyrządził.

- Słucham? - zamrugał oczami. I zaraz się uśmiechnął. - Dorotko, ty naprawdę miewasz pomysły...

Ponowiła ruch.

- Uważam, że to dobry pomysł.

Ujął myjkę.

- Naprawdę tak uważasz?
- Uhm. - Nadstawiła plecy.
- Ale gdzie nas to znowu zaprowadzi... - zamruczał

Jack.

- Co tam mruczysz?
- Mówię, że nie ręczę za siebie - powiedział głośniej. - Jak tak dalej pójdzie.

Obróciła się ku niemu.

- I ja bym właśnie na to liczyła.
- Co takiego...? Dziewczyno, ty chcesz mnie chyba doprowadzić do zguby.

Pocałowała go w policzek.

- Już nie „dziewczyno”. Zrobiłeś ze mnie dzisiaj kobietę, nie pamiętasz? Bardzo ładnie ci to poszło. Dziękuję.

Prawie gotów był się zaczerwienić. Te dwuznaczne komplementy. I co za bezwstydną wdzięczność...

Namydlił gąbkę i przykląkł przed Lizzie. Umył jej obie stopy, niby w jakimś starożytnym rytuale. Z uwagą skupiał się nad każdym kolaniem, nad udami, brzuchem, pośladkami, plecami, ramionami. Wsadził jej palce do uszu, a ona przez chwilę udawała, że to małe słuchawki walkmana, i zaczęła się kołysać jak do taktu muzyki. Jack zaśmiał się, rzucił gąbkę i porwał swoją nimfę do improwizowanego tańca.

Kiedy się zatrzymali, Lizzie pokazała na trójkącik między udami.

- Ale nie całkiem mnie jeszcze wykapałeś - powiedziała. - Tu nie byłeś.
- Lizzie, nie prowokuj.

- Kiedy to najważniejsze miejsce.
- Lizzie...
- No to chyba poproszę kogoś innego.

Jack rozejrzył się.

- Kogo?

- Jego. - Chwyliła go za pasek od spodenek i przyciągnęła do siebie. - Bo widzę, że on już.. Prawda?

Jack spojrział w dół. Potem bez słowa objął Lizzie. Zaczęła ją całować po twarzy, po szyi, piersiach, wszędzie. Poddawała mu się i każdym gestem sama go sobie brała. Cofnęła się o krok i oparła plecami o obudowę sterówki. Sięgnęła do suwaka szortów Jacka.

- Chodźcie, chłopcy - szepnęła. - No chodźcie.

Pomógł swoim szortom opaść w dół. I zaraz wszedł między uda Lizzie. Przykucnął nieco, aby zaraz gwałtownie urosnąć. Westchnęła, zarzucając mu ręce na szyję. Znow miała go w sobie.

Kochali się chwilę pod gołym niebem, samotni na całym świecie.

- Ale nie boli? - zatrzymał się na moment Jack.
- Nic a nic - pocałowała go. - Nie bój się.

Skupieni na sobie nawzajem i tylko na sobie, w jakimś niemal planetarnym obrzędzie, z osiłą i obracającą się na niej żeńskością, dotrwali do kolejnego spełnienia. Obojgu ugięły się kolana, kiedy się rozłączali. Przyśiedli też na rozgrzanym pokładzie, ciężko dysząc.

- Wiesz, to chyba jednak niezdrowe, tak raz za razem. - pokręcił głową Jack.

- Dlaczego niezdrowe? - Lizzie położyła mu głowę na ramieniu. - Moim zdaniem to jest rajskie.

Spoglądali milcząc w niebo, śledząc lot jakichś zabłąkanych mew.

- Patrz - ocknął się Jack. - Są ptaki, to znaczy, że i ląd musi być niedaleko.

Lizzie pomyślała, że wcale jej w tej chwili nie zależy na końcu podróży. Wróć gdzieś tam na Florydę i co... ? Trzeba się będzie rozstać. Zerknęła ku twarzy Jacka, obejmując już teraz stęsknionym spojrzeniem szlachetny profil, ciemną brew i lśnienie szarej tęczówki, a dalej mocny kark i zarys ramion.

Westchnęła i zaczęła się podnosić.

- Koniec mojej kąpieli... Słyszycie, ptaki?! - zawołała niespodzianie w stronę mew.

Jack roześmiał się i też wstał. Sięgnął po dłoń Lizzie i ni stąd, ni zowąd ucałował ją dwornie.

- Zasługujesz na coś lepszego, pani, niż to kochanie się na stojąco. - Spoważniał. - W ogóle zasługujesz na coś lepszego...

- Co masz na myśli?

- Czy ja wiem? - odwrócił głowę. - Nie, nic takiego.

Było cicho; drobne fale chlupotały tylko o burty jachtu, a lekka bryza szarpała kliwrem.

- No dobrze - powiedziała Lizzie. - To ja się teraz trochę znowu umyję, a ty rób, co chcesz, miałeś przecież jakieś pomysły żeglarskie. - Ruszyła na rufę, gdzie czekało wiaderko i gąbka. Obejrzała się za siebie.

- Co się tak martwisz? - przystanęła. - Nie dzieje się nic złego, miało nam być przyjemnie i jest przyjemnie. - On skinął głową, więc ona schyliła się po koszulkę leżącą na pokładzie. Potem wiaderkiem zaczerpnęła

trochę wody morskiej. - Tym razem ochłapię się w łazience, dobrze? To na wypadek - spróbowała się uśmiechnąć - gdyby nagle pojawili się jacyś piraci albo inni nieproszeni goście.

Kiedy zeszła pod pokład, uśmiech znikł z jej ust. Teraz nie musiała być już dzielna. W łazience przysiadła na skraju wanny. I poczuła, że ma łzy pod powiekami.

Lizzie Matheson płakała w ostatnim czasie tylko dwa razy: w dniu, gdy umarł jej ojciec, i wtedy - a było to całkiem niedawno - kiedy dowiedziała się, że nosi w sobie upragnione dziecko. Wówczas zapłakała z radości. No a dziś... dziś będzie chyba trzeci raz? Ukryła twarz w rękach. I pomyślała, że z powodu Jacka Dunlapa uroni może jeszcze niemało łez. Ale więcej łez nieszczęścia czy szczęścia?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wielki spokój.

Jack doszedł do wniosku, że chyba porozumieli się jakoś z Lizzie, nawet jeśli miałyoby to być tymczasowe. Sumienie przestało go na moment dręczyć. Przycichły również demony przeszłości. Tej kobiecie było z nim dobrze. Jemu z nią było też dobrze - i może nawet za bardzo?

W tej chwili widział przed sobą niezmierną równinę morską. Umiarkowany wiaterek lekko marszczył fale i szemrał w olinowaniu. Miało się właśnie ku zmierzchowi. Jack stał przy sterze i zastanawiał się, kiedy dopłyną do lądu. Czy zdążą przed wyczerpaniem zapasów żywności i wody? Przed dwiema godzinami oglądał śrubę napędową. Była beznadziejnie zamotana w linki niegdyśszego balonu. Grotzgała też nie udało mu się postawić: linkszpara w maszcie była trwale niedrożna. Są więc skazani na nieszczęsny kliwer, a więc na żółwie pełzanie. Do licha, ale może koledzy Lizzie z klubu balonowego wszczęli jednak jakiś alarm?...

Coraz niższe słońce kładło się na falach fantastycznymi smugami. Szkoda, że Lizzie tego nie widzi, pomyślał Jack. Może by ją zawołać? Ale ona od pory obiadu

wydawała się taka zmęczona. Leżała w kajucie i drzemała. Nie, nie trzeba jej budzić, postanowił. Niech odpoczywa. Zresztą, gdyby do niej poszedł, mogłaby go nie wypuścić i zaczęłyby się nowe zapasy miłosne. Co stanowczo nie byłoby rozsądne.

Mewy... A więc ład powinien być rzeczywiście niedaleko. Jack uniósł głowę i obserwował ptaki.

Wtem usłyszał coś jakby daleki terkot silnika. Nadstawił uszu i odkrył, że od zawietrznej pomału pełza ku niemu trudny do rozpoznania w zmirzchu kuter. Czy to nie ten sam, pomyślał, co wczoraj? Z owymi dwoma pseudorybakami na pokładzie?

Kiedy łódź się zbliżyła, nabrał pewności, że to właśnie oni. Mocniej zacisnął ręce na kole sterowym i zaczął cicho kłąć. Czego te łobuzy mogą chcieć? Spróbują jakiegoś abordażu? Zapewne są uzbrojeni. A on ma rewolwer nienabity i to nawet nie przy sobie, tylko w sejfie. Może by jednak skoczyć do tego sejfu? Lecz oni wtedy polecą za nim i jeszcze skrzywdzą tam, pod pokładem, Lizzie.

No właśnie, Lizzie. Jej przede wszystkim należy się ochrona... Co robić? zastanawiał się gorączkowo.

- Cześć - usłyszał z pokładu kutra, który zdążył przycumować do jachtu. Gruby łysoni uniósł w geście powitalnym puszkę piwa, z której właśnie pociągał. - Widzę, że przetrwaliście jednak sztorm.

Jack puścił ster i podszedł do relingu.

- Jakoś mi się udało - odpowiedział. - A teraz wracam już do domu.

- Tylko że nie słyszę silnika - wzruszył ramionami

łysy. - Harry - zwrócił się do swego towarzysza. - Słyszysz jakiś silnik?

- Nic a nic, Buck - odezwał się chudy drągał, nazywany Harrym. - Zdaje się, że na tym kliwerku nieprędko dopłyną.

Jack wyprostował się, czując, jak gwałtownie podnosi mu się poziom adrenaliny we krwi.

- Nic dziś nie złowiliście, panowie? - pokazał głową puste skrzynki na kutrze.

Długi Harry potarł zarośniętą szczękę.

- Dziś nie łowiliśmy... Zresztą w ogóle nie łowimy, w każdym razie nie ryby, jeśli już chcesz widzieć... A gdzież to żonka?

- Już na łądzie - skłamał naprędce Jack. - Mieliśmy dziś rano inny okazjny kuter. I popłynęła... Ma zawiadomić straż przybrzeżną.

Harry zsunął na czoło brudną czapkę.

- Hej, Buck - zwrócił się do kolegi. - Co myślisz o tej straży przybrzeżnej?

- Nic nie myślę - gruby łyknał piwa. - Oni nie są głupi. Nie zajmują się jakimiś tam naiwniakami w podróży poślubnej.

Jack zauważył, że Buck wolną ręką sięga do kieszeni. Teraz wyjmie rewolwer, pomyślał.

- Hej, panowie, czego wy właściwie chcecie? - zapytał przez ściśnięte gardło.

Rewolwer rzeczywiście się pojawił w łapie grubasa.

- Chcemy sobie dokładnie obejrzeć twoją łódkę.

- Ale ja - Jack zrobił krok do tyłu - nie mam nic, co by mogło was interesować.

- To się jeszcze okaże. - Gruby wysączył resztkę piwa i odrzucił puszkę. - Stój tam, gdzie stoisz - zakomenderował w stronę Jacka. Potem zaczął się gramolić na pokład „Hannah”.

Jack przez sekundę miał chęć rzucić się na pirata, ale powstrzymała go myśl, że gdyby został na przykład postrzelony, zostawiłby bez ochrony Lizzie. A to by oznaczało najgorsze. ~

W następnej chwili wpadł na pomysł, aby ponegocjować jakoś z bandytami. Umiął bardzo dobrze pertraktować - co prawda z biznesmenami... W końcu był to jego zawód. Więc może jego siła perswazyjna i tutaj zadziała?... Nie, nie zadziała. Odrzucił tę myśl. Ale nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Za Buckiem na pokład jachtu wspiął się Harry. Obaj piraci lustrowali przez chwilę łódź. Nagle gruby przykląkł.

- Potrzyj - wręczył broń koledze. - Coś tu mamy. - I ku zaskoczeniu Jacka wygrzebał końcem palca spod listwy okalającej pokład medaliki Lizzie, zagubione podczas burzy. Wstał, dyndając łańcuszkiem.

Harry skierował lufę na Jacka.

- Masz tu jeszcze jakieś inne skarby?

- Nic nie mam - pokręcił głową Jack, rejestrując zarazem brzeżkiem świadomości, że broń jest teraz w rękach wątlejszego z bandytów.

- Porozglądaj się tu jeszcze, Buck - powiedział chudzielec. - A ja zabiorę kapitana pod pokład, żeby mi pokazał wszystko, co tam ma.

- Dobra, lećcie - zgodził się grubas.

- W tył zwrot, szefie. - Harry dźgnął Jacka łufą w bok. - Idziemy.

Zeszli po trapie do kokpitu.

- Prowadź prosto do kasy - polecił Harry. - Na pewno masz tu jakąś.

Jacka oświeciło nagle, że jego sejf znajduje się w kajucie, w której śpi Lizzie - jeśli rzeczywiście w tej chwili śpi. Cholera, zaklął w myślach, trzeba by ją jakoś ostrzec, niech się schowa pod koję. Wtedy ci bandyci wezmą forszę i może dadzą sobie spokój z resztą, odpłyną.

W kokpicie było prawie ciemno, bo zmierzch robił się coraz gęstszy.

- Tędy, Harry - Jack powiedział wystarczająco głośno, żeby Lizzie usłyszała. - Kasa jest w sypialni. Ale nie spodziewaj się wielkich skarbów.

- Każda forsa jest dobra - mruknął chudzielec.

- A nie chciało wam się nigdy, chłopcy - Jack przystanął - wziąć do jakiejś uczciwej roboty? Słyszałem niedawno, że w Key Largo szukają zamiataaczy ulic.

- Nie podskakuj, koleś - pogroził rewolwerem chudy. - Bo cię nafaszeruję... Prowadź do kasy.

Jack ruszył i zaraz udał, że się potknął. Zaczął przeklinać ciemności. Odwlekał moment naciśnięcia klamki. W końcu jednak trzeba było to zrobić. Weszli do kajuty. Lizzie... nie było na koi. Bogu dzięki, pomodlił się w myślach Jack.

Harry wypatrzył zarys sejfu wśród szafek przyśrubowanych do podłogi.

- No, to do roboty - machnął rewolwerem.

- Ale nie ma światła - poskarżył się Jack. - Wysiadły mi wczoraj akumulatory... Jak nastawię szyfr?

- Nie bój nic. - Chudy niespodzianie kliknął włącznikiem latarki, którą wydobył z kieszeni.

- O, dzięki. - Jack pochylił się przed sejfem i zaczął obracać tarczą szyfrów. Po chwili drzwi odskoczyły.

- Odsuń się - zakomenderował Harry. Potem kucnął i oświetlił pancerne wnętrze. - Jest i pistolecik - uśmiechnął się. Zgarnął go w pierwszej kolejności. Następnie sięgnął po plik banknotów, niezbyt okazały. - Nic więcej nie masz? - uniósł głowę.

Jack stał z boku i milczał. Kucający chudzielec wydał mu się nagle niegroźny. Harry cały czas się uśmiechał, odsłaniając luki w uzębieniu. Może by mu wybić resztę zębów, zastanowił się Jack. Ale chyba nie tu. Wyjdźmy najpierw z kajuty.

- Mam jeszcze trochę różności - odezwał się - w szafkach kuchennych. Jakieś srebra...

Harry wstał.

- No to prowadź, kapitanie.

Jack wyszedł pierwszy z sypialni, wypatrując, czy na dole nie pojawił się Buck. Jednak salonik kokpitowy wydawał się pusty. Jack miał nadzieję, że Lizzie zostanie cicho pod koją, nie mieszając się do rozprawy między nim a piratami.

Ledwie przekroczyli próg, dał się słyszeć z pokładu głośny hałas, jakby łupnięcie, od którego zadrżała cała łódź. Może to grubas się poślizgnął i obalił, może nawet coś sobie skrzył, pomyślał z nadzieją Jack. Harry podbiegł do wyłazu.

- Co się dzieje?! - wrzasnął.

Teraz, zdecydował Jack. Rzucił się za chudzielcem. Oburącz łupnął go w kark, tak że tamten upadł jak wór. Stuknęły o podłogę wylatujące z bezwładnych rąk rewolwer i latarka. Jack przygwoździł pirata kolaniem i zastanawiał się co dalej. Zaczął macać dookoła z nadzieją, że odnajdzie broń.

Nie zdążył, bo z zadziwiającą lekkością zbiegł w dół po schodkach gruby Buck. Błyskając własną latarką, gruby natknął się niemal na pistolet leżący tuż u podnóża trapu. Schylił się i podniósł go.

- No! - krzyknął. - Dość tych sztuczek! Harry, wstawaj - zakomenderował. - A ty - wycelował broń w Jacka - twarzą do podłogi.

To już koniec, pomyślał Jack. Śmierć może nie jest straszna, ale to, że Lizzie znajdzie się na łasce dwóch bandytów - to jest straszne.

Harry zaczął się gramolić, zaś Buck schylił się, aby mu pomóc. I jednocześnie coś trzasnęło, błysnęło, w wyniku czego grubas pogłębił swój skłon i już nie wstał. Jack w zdumieniu uzmysłowił sobie, że do akcji wkroczyła chyba Lizzie. I tak rzeczywiście było; górowała teraz nad trójką uziemionych mężczyzn, dzierżąc w garści jak maczugę sportowy puchar - ten, który dotąd grał rolę odbojnika do drzwi w łazience. Z wielką przytomnością naga stopą przesunęła w stronę Jacka rewolwer, który wypadł z ręki grubasowi.

Jack złapał broń i poderwał się.

- Dzięki, Dorotko. - Schylił się po latarkę. - A ty - zwrócił się do chudzielca - ręce do góry.

Lizzie przykucnęła przy grubasie.

- Czy ja go zabiłam? - zapytała.

- Nie sądzę - Jack wzruszył ramionami. - Ale na pewno będzie go trochę bolała głowa... Chyba że go tutaj dobijemy, co? Razem z tamtym drugim.

Harry momentalnie złożył ręce w błagalnym geście.

- Darujcie mi życie - zaczął. - Ja jestem niewinny. To Buck wszystko obmyślił.

Oboje przyglądali się Harry'emu z politowaniem. Wreszcie Lizzie obróciła się ku jednej z szafek.

- Tu gdzieś miałeś zapasowe olinowanie - zastanowiła się na głos. - Jack, mógłbyś mi poświecić? - Po chwili wydobyła kłębek sznurka. - Powiążemy was jak wieprze - zapowiedziała klęczącemu piratowi. - I dostarczymy policji.

- Dobra myśl, Dorotko - pochwalił Jack. Po czym pozwolił swej dzielnej nimfie zamotać pierwsze więzy na Harrym.

Tak się martwił o Lizzie, a tu proszę: właściwie to ona okazała się naprawdę skuteczna w rozprawie z bandytami. I przypomniało mu się ni stąd, ni zowąd pewne stare, europejskie przysłowie: „Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle”.

Lizzie siedziała na ławie w kokpicie znów oświetlonym lampą naftową. Było jej zimno, mimo że włożyła na siebie wszystkie swoje rzeczy i owinęła się kocem. Jack rozmawiał na górze ze strażą przybrzeżną, którą udało mu się wezwać przez radio na kutrze piratów. Samych bandytów strażnicy zapakowali już do hydro-

planu, który przycumował koło jachtu. Lizzie czekała na wynik pertraktacji. Chciałaby wiedzieć, co będzie dalej, co będzie z nią i Jackiem...

Westchnęła. A więc tak się kończy ta dziwna przygoda. W innych warunkach czułaby się odprężona, wesoła, jednak to, że czekają teraz rozstanie z kapitanem Dunlapem, bynajmniej jej nie odprężyło.

Zadudniły kroki na trapie prowadzącym w dół. Zadrżało w niej serce, bo schodził właśnie Jack. Uśmiechnął się i przysiadł obok niej na ławie. Objął ją ramieniem.

- Świetnie sobie dziś poradziłaś, Lizzie - powiedział.

- Z tym grubym? - Wzruszyła ramionami. - Samo jakoś poszło. To był odruch.

- Jednego tylko nie rozumiem. - Jack pokręcił głową. - Jak udało ci się przemknąć, niezauważonej, do łazienki? Po ten puchar?

Zaśmiała się cicho.

- Nie wiesz? Ja po prostu cały czas byłam w łazience. Goliłam sobie nogi.

- Co takiego? - Spojrzył niedowierzająco. - Goliłaś no... Ale jak, po ciemku?

- Miałam ze sobą latarkę. Przecież ty masz dużo latarek. I zgasiłam ją, kiedy się zorientowałam, że mamy na pokładzie nieproszonych gości.

- Dzielna dziewczyna. - Jack mocniej ją przygarnął. - Prawdopodobnie uratowałaś nam obojgu życie.

Lizzie wyduła usta.

- Drobiazg. Zawsze do usług, kapitanie. - Przytknęła do czoła dwa palce, salutując.

Za burtą jachtu dał się słyszeć starter włączanego silnika.

- To nasz hydroplan - powiedział Jack. - Pora na nas.
- Lecimy z nimi? - upewniała się Lizzie.
- Lecimy... A po ten wrak - tupnął nogą w podłogę
- przypłylnie serwis. Już ich zamówiłem przez radiote-
lefon.

- A więc to koniec... - zaczęła się podnosić Lizzie.
- No, jeszcze nie całkiem - odgadł jej myśl Jack.
- Na dziś zamówiłem dla nas razem nocleg w Key Lar-
go. Do twego Miami pojedziemy dopiero jutro rano.

Jutro. Przekłęte jutro. Lizzie ciałniej owinęła się ko-
cem.

- I cóż to za nocleg zamówiłeś?

Przepuścił ją przodem na schodkach.

- A, taki skromny hotelik. Znam go od dawna. Przy-
zwoite miejsce.

Słowo „skromny” okazało się oczywistym żartem. „Twelve Sands Resort” było luksusowym hotelem, z westybulem wykładanym marmurem, solidnymi bo-
azeriami i schodami paradnymi, jak w operze.

Lizzie od samego progu poczuła się nie na swoim miejscu. Owinęta koczykiem, z włosami jak strąki, mia-
ła chęć schować się za najbliższą palmą w donicy, ale
cóż by to dało?

Za to Jack wydawał się całkowicie panować nad
sytuacją. Niedbale pozdrowił odźwiernego w liberii,
a potem wyciągnął rękę do nobliwego szefa tego przy-
bytku, który wybiegł im na powitanie.

- Witam, panie Brevard - powiedział. - Mój apartament jest gotowy, prawda?

- Moje uszanowanie, panie Dunlap, oczywiście. Moje uszanowanie pani - zgiął się w półukłonie dyrektor.

- To jest Elizabeth Matheson - Jack przedstawił Lizzie. - Pani Matheson będzie dzisiaj moim gościem... Aha, poproszę dla niej o wegetariańską kolację.

- Czy podać też szampana?

Jack popatrzył na Lizzie, na jej włosy i cerę spierzchniętą od soli morskiej.

- Dzisiaj raczej szampan nie. Wystarczy nam sama woda. Dużo wody.

- Jak pan sobie życzy, sir.

Jack znów spojrział na Lizzie.

- Potrzebujemy jeszcze czegoś, Dorotko?

Lizzie spostrzegła błysk zdumienia w oku Brevarda. Jednak szef hotelu natychmiast wrócił do swej urzędowej maski. Musiał być jednak przekonany, że pan Dunlap nazwał przed chwilą swoją partnerkę prawdziwym imieniem, zaś Elizabeth Matheson" to jakiś pseudonim.

- Owszem, Ahabie - skinęła głową. - Nie miałabym nic przeciwko płonącym lodom...

- Sądzę, że to się da zrobić - Jack zwrócił się do Brevarda.

- Ależ naturalnie - zgodził się majordomus. W związku z „Ahabem” w jego oczach znów pojawiło się zdumienie.

- I jeszcze bym chciała, do pokoju... - Lizzie zaważała się, niepewna, czy ktoś jej nie zgromi - poprosiłabym o poduszkę z pianki. Bo jestem uczulona na pierze.

- Załatwione. - Brevard gotów był do odejścia.
- Momencik. - Jack złapał go za guzik od fraka.
- Proszę zadzwonić do doktora Jacobsa i zamówić go na wizytę w naszym apartamencie, powiedzmy za godzinę.

Brevard wywołał na swym obliczu profesjonalny wyraz zatroskania.

- Czy pan jest chory, sir?
- Tu chodzi o zbadanie pani Matheson.

Lizzie spojrzała na Jacka.

- Ależ to zupełnie niepotrzebne. Jestem pewna, że dziecku nic się nie stało.

Brevard odchrząknął.

- Czy mają państwo jeszcze jakieś życzenia?
- Raczej nie, dziękujemy. - Jack uśmiechnął się łaskawie. Potem ujął Lizzie pod łokieć i zaczął nią sterować w stronę windy, zewnętrznej względem patio i przeszklonej z trzech stron.

Wsiadli do niej jako jedyni pasażerowie.

- Słuchaj, Jack - odezwała się Lizzie. - Z tym Jacobsem to już przesadziłeś. Ja przecież skontaktuję się ze swoim własnym lekarzem, po powrocie do Miami.

- A jednak będzie mi rażniej - odpowiedział - kiedy się okaże, jeszcze przed twoim wyjazdem, że oboje jesteście cali i zdrowi, ty i Hank.

Westchnęła. Wyjazd... Rozstanie...

Na czwartym piętrze dosiadła się do nich jakaś młoda para. To są chyba nowożeńcy, zdecydowała Lizzie, tak się do siebie przytulają. Zaglądają sobie w oczy. Całują się... Ona zaś i Jack zajęli miejsca w dwóch przeciwle-

głych narożnikach windy. I teraz starali się udawać, że nie widzą tamtych. Cóż, przed nią i Jackiem nie ma żadnego nowego początku. Jest tylko koniec.

Dojechali na ostatnie piętro. Nowożeńcy ruszyli ku luksusowej restauracji, widniejącej na prawo od windy. Lizzie pociągnęła nosem. Co za zapachy! Poczowała nagle wilczy głód. I ponownie zatroskała się o swój wygląd; chyba Jack nie każe jej iść na kolację w tych szmatkach z podróży?

Nie, nie kazał.

- Tędy - pokierował nią w stronę połyskującego lustrem korytarza, którego podłogę przykrywał gruby, głuszający kroki dywan.

Lizzie starała się nie zaglądać do luster, bo nie spodziewała się w nich ujrzeć siebie możliwej do zaakceptowania. W jej głowie kołatała teraz jedna myśl: wykapać się! Następnie... zamówić coś na ząb do pokoju i zaraz potem iść spać. Spać, żeby przespać smutek rozstania.

Doszli do wnęki, flankowanej dwiema okazałymi donicami z roślinnością kwitnącą na pomarańczowo i karminowo. Jack wyciągnął z portfela kartę magnetyczną i włożył ją do czytnika małej windy. A więc to, co wydawało się Lizzie ostatnim piętrem gmachu, nie było nim jeszcze. Winda ruszyła, pokonując kolejną kondygnację.

Wysiedli w holu wyglądającym raczej prywatnie i skierowali się ku podwójnym drzwiom na wprost. Tutaj Jack ponownie użył swojej karty magnetycznej, a gdy drzwi się otworzyły, przepuścił Lizzie przodem. Ona, ujrzawszy przepych wnętrza, przystanęła i wstrzy-

mała oddech. Takie rzeczy oglądała dotąd tylko w filmach hollywoodzkich... Złocenia, marmury, boazerie, perskie dywany, skórzane meble.

- Zapraszam - uśmiechnął się Jack.

Weszli głębiej. W salonie cała jedna ściana była panoramą z przyciemnionych szyb, za którymi, w dole, błyskały światła portu.

- I to jest ten „skromny zakątek”, w którym mieliśmy dziś nocować - pokiwała głową Lizzie. - No, no...

Jack zaplótł ramiona, najwyraźniej zadowolony z niespodzianki, jaką zrobił swej Dorotce.

Ona odrzuciła koc, którym wciąż była owinięta, na najbliższy fotel.

- Ahabie, kim ty właściwie jesteś, że stać cię na takie luksusy?

Wzruszył ramionami.

- Jestem hotelarzem. A to - zatoczył łuk ręką - to jest po prostu moje mieszkanie.

Święci pańscy, spłoszyła się Lizzie. Jacht, którym pływali, też nie był tani... Można było podejrzewać, że kapitan Dunlap nie jest biedny. Ale żeby miał na własność hollywoodzki apartament...

- Co to znaczy - opadła na fotel - że jesteś hotelarzem?

- To znaczy, że mieszkam w swoim własnym hotelu. A oprócz tego w różnych miejscach na świecie posiadam jeszcze pięć takich instytucji.

- Aha... - otworzyła usta Lizzie i wpatrywała się w nagle objawionego potentata. - Więc to tak... I co teraz? - zapytała z niepewną miną.

- Jak to co? - odparł wesoło Jack. - Teraz proponowałbym ci kąpiel. Łazienka jest tutaj - wskazał. - Znajdziesz w niej wszystko, co potrzeba, z płaszczem kąpielowym włącznie.

Spoglądała na niego, starając się skupić.

- Dzięki - powiedziała. - Ale... może ty pierwszy chciałbyś wziąć prysznic?

- Dlaczego pierwszy? Ty pójdziesz do łazienki dla gości, a ja mam obok swoją własną.

Ach tak, oświeciło ją. Spadła więc - bo chyba nie awansowała - do statusu osoby obcej. Cóż, to logiczne, biorąc pod uwagę perspektywę pożegnania.

- No dobrze, to idę - powiedziała zrezygnowana.

- I pamiętasz, że potem będzie doktor Jacobs? - przypomniał Jack.

- Uhm. Postaram się pośpieszyć.

- Wcale nie musisz się tak śpieszyć. W razie czego doktor zaczeka. Mam go na swojej liście płac. To mój człowiek.

Zerknęła z ukosa. Sama chciałaby być człowiekiem Jacka, naturalnie bez związku z jakąkolwiek listą płac.

Podniosła się i skierowała do gościnnej części apartamentu. W łazience, utrzymanej w tonacji cielisto-turkusowej, odkryła mnóstwo kosmetyków przeznaczonych raczej dla kobiet niż mężczyzn. No tak, to oczywiście, pomyślała. Dlaczego Jack nie miałyby być tutaj nawiedzany przez kobiety? Nie ona jedna gotowa jest go kochać. Takiego mężczyznę...

Spłukując z siebie resztki soli morskiej tak się czuła,

jakby przy tym zmywała z całego ciała wszystkie dotknięcia swego kapitana, jego pocałunki i pieszczoty.

Jej serce wiedziało jednak, że najważniejszego woda nie zmyje. Uczuć, wspomnień, wszystkich dobrych myśli. Jeśli nie może mieć dla siebie Jacka, to zawsze będzie miała przynajmniej to: dobre wspomnienia, dobre uczucia z nim związane, dobre myśli.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jack spacerował pod drzwiami gościnniej części apartamentu, podczas gdy doktor Jacobs badał Lizzie. Dlaczego jestem tak zdenerwowany, zastanawiał się Jack, przecież tojej dziecko nie ma ze mną nic wspólnego? Na razie nie ma, odpowiedział sam sobie, ale gdyby mu się coś przeze mnie stało, nie mógłbym mieć czystego sumienia.

Przystanął pod drzwiami, zbliżając do nich ucho. Po tamtej stronie rozległ się śmiech Lizzie, a potem doktora. To dziwne, pomyślał Jack. Przecież ten Henry prawie nigdy się nie śmieje. Cóż go teraz tak ucieszyło?

Klamka poruszyła się nagle. Jack zrobił krok do tyłu, ale nie dość szybko, by nie być przychwyconym na podsłuchiwanie.

Po zamknięciu drzwi za sobą Jacobs zbliżył się do Jacka i klepnął go po ramieniu.

- Okaz zdrowia, ta twoja pani.

- Na pewno? A dziecko...

- Wszystko wygląda dobrze, chociaż trudno o szczegóły, bo to przecież pierwsze tygodnie. Powiedziałem Lizzie, żeby sobie zrobiła badanie krwi, jeśli ma chęć, ale nie wiem, czy to potrzebne.

- Uhm.

- No, szefie, uszy do góry. Naprawdę nie ma się o co martwić.

Jack spojrział ponad głową Jacobsa ku drzwiom.

- Co ona teraz robi?

- Ubiera się.

- Uhm - powtórzył. I pomyślał, niezbyt mądrze, że jest zazdrosny o to, iż Lizzie rozbierała się dla tego starszawego jegomościa, niskiego, łysawego, podtatuśiałego. Cóż z tego, że lekarza. - Dziękuję bardzo, żeś się fatygował o tak późnej porze - powiedział.

- Drobiazg - skłonił się doktor. - I jeśli mogę coś radzić... Niech Lizzie przez jakiś tydzień poodpoczywa po tej eskapadzie. Żadnych nowych rejsów. Ale poza tym nie musi się w żaden sposób ograniczać.

- Nie musi się ograniczać... - powtórzył jak echo Jack. I zaraz skarcił się w myśli za niespodziewaną chęć skorzystania z możliwości, jakie to otwiera. Bo zażyłość z tą dziewczyną powinna być przecież zamknięta. Jutro się pożegnają. A dziś... Dziś powinni zacząć się przyzwyczajać do tego, co przyniesie jutro.

Jacobs ni stąd, ni zowąd zachichotał.

- Ograniczeń łóżkowych też nie ma. Bo zdaje się, że coś z tych rzeczy chodzi ci po głowie...

Jack zrobił niepewną minę, a doktor kontynuował:

- We wczesnych fazach trudno uszkodzić ciążę. Zresztą, najlepiej, jeśli kobieta sama reguluje te sprawy... No, a teraz - wyciągnął rękę - będę się chyba żegnał.

Jack odprowadził go do wyjścia. Zanim drzwi zamknęły się za doktorem, ten odwrócił się jeszcze. Miał teraz swój zwyczajny, poważny wyraz twarzy.

- Opiekuj się swoją panią. To nadzwyczajna kobieta. Moje gratulacje. Cieszę się, żeś się postanowił ustatkować.

Swoją panią... Dlaczego on to tak podkreśla? Jack zamierzał coś uściślić, ale nie zdążył, bo usłyszał za sobą kroki. A Henry uniósł dłoń i pomachał.

- Dobranoc, Lizzie. Miło było cię poznać.

Trzasnęły drzwi. Jack obrócił się na pięcie.

- On zdaje się myśli, że to moje dziecko? - zapytał.

Ściągnęła mocniej pasek od swego aksamitnego szlafroka.

- Nie wiem, skąd to przypuszczenie. Ja z nim rozmawiałam po prostu o ciąży... A ty wiedziałaś, że Henry ma aż piątkę dzieci?

Jack wiedział teraz tylko jedną rzecz, tę mianowicie, że chciałby jak najprędzej wyprowadzić Jacobsa z błędu, ponieważ Henry był nie tylko zdolnym lekarzem, ale również znanym plotkarzem. I jak tak dalej pójdzie, do jutra wszyscy będą wiedzieli, że Jack ma być ojcem. Ludzie rzucają się z gratulacjami, zaczynają się spekulacje na temat „małego żeglarza”, a skończy się to na dalekosiężnych rozważaniach dotyczących tego, na jakim uniwersytecie junior powinien studiować. Może tam, gdzie sam Jack, to znaczy na stanowym Uniwersytecie Florydy? No, a kiedy dziecko zrobi dyplom, zapewne wejdzie do hotelarskiego interesu ojca...

Jack zacisnął zęby. Nie, nie, to wszystko nie ma sensu. I nie może być żadnych spekulacji. Już jutro Lizzie i mały Hank znikną z jego życia. A życie to na szczęście wróci w swoje dawne koleiny... Ale jeśli „na szczęście” - to skąd się bierze owo dziwne ściskanie w dołku?

Prawdopodobnie z braku solidnego posiłku, od wielu godzin.

I Jack wykonał gest:

- My tu gadu-gadu, a w pokoju stołowym już od kwadransa czeka na nas kolacja. Powinienem być to od razu powiedzieć.

Tak jest, właśnie to powinien być powiedzieć, zamiast ewentualnie wrywać się z czymś głupim. Jak na przykład z propozycją, by Lizzie została z nim na resztę życia.

Lizzie na chwilę jeszcze podeszła do telefonu, by skontaktować się z szefem swego klubu balonowego. Usłyszała po tamtej stronie wybuch radości. I taką tą radość ucieszyła, że i sama się rozpromieniła.

- Nie, nie utonęłam - zapewniła. - Prawdopodobnie już jutro się zobaczymy.

Potem zaczęła się kolacja z Jackiem, ze wspianą węgierską lazanią. Dla Jacka były, wedle gustu, krwiste steki. Jednak Jack nie miał specjalnego apetytu. W połowie posiłku odsunął od siebie talerz i zamyślił się.

- Dolara bym dała - powiedziała Lizzie - żeby wiedzieć, o czym teraz dumasz.

Uśmiechnął się do niej, ale dosyć smutno.

- Te myśli nie są warte złamanego grosza. Przepłać ciabyś, dając dolara.

Odwzajemniła uśmiech.

- Nie przy dzisiejszej inflacji... Ale tak naprawdę nie mam przecież grosza przy duszy, więc i tak nic ci nie zapłacę.

I zaraz pomyślała, że chętnie wniosłaby coś może

w naturze...? Jednak lepiej tego nie sugerować, bo Jacka łatwo spłoszyć.

Podparła ręką policzek.

- Obmyślasz jakieś nowe rejsy?

Pokręcił głową.

- Nie, to nie to... Powiem ci, skoro pytasz: myślę teraz o twoim jutrzejszym wyjeździe.

W Lizzie skoczyło serce. A więc on martwi się może z tego powodu?... E, nie, niemożliwe. Nie stałby się taki obcy, od kiedy zeszli z jachtu, gdyby mu na niej zależało.

- A jakieś szczegóły? - zapytała.

Patrzył na nią przez chwilę.

- Z czego ty teraz będziesz żyła, Lizzie?

No tak, oczywiście. Milionerzy najchętniej myślą o pieniądzach. Jack jest wyraźnie milionerem. Czy nawet mułtamilionerem. No, ale jest też samotnikiem... któremu taka kobieta jak Lizzie nie jest potrzebna.

- Wrócę do swego wyuczonego zawodu - odpowiedziała. - A co do baloniarstwa... - wzruszyła ramionami - też go nie porzucę. Zgodzę się na razie na załogantkę u kogoś.

Pokiwał głową. Potem zabębnił palcami w stół.

- A gdybym ja ci dał w prezencie nowy balon?

Zmarszczyła czoło.

- Nie, nie dawaj mi żadnych prezentów. Dziękuję. Nie jesteś mi nic winien.

- Nie chciałem cię obrazić.

- I wcale nie obraziłeś - uśmiechnęła się. - Ale ja sama dam sobie ze wszystkim radę. Będą pieniądze

z ubezpieczenia, zacznę oszczędzać... Pomału dorobię się nowego sprzętu.

No tak, sprzętu się dorobi. Ale czy dorobi się kiedykolwiek mężczyzny takiego jak Jack? Opiekuńczego, doświadczonego kochanka, człowieka opanowanego, zarazem kochającego żywcioły, jak ona?

- Namyśl się jeszcze. - Jack pochylił się ku niej przez stół. - Ostatecznie to ja dobiłem tę twoją biedną „Bessie”.

- Dobiłeś „Bessie”? - zaśmiała się. - W takim razie mnie mógłbyś uznać za wroga swojej „Hannah”. Uszkodziłam cижacht, zamieniłam go we wrak.

Jack machnął ręką. Potem przez chwilę milczeli.

- Sporośmy razem przeżyli, co, Liz? - odezwał się Jack.

Serce znów skoczyło w jej piersi.

- Jak mnie nazwałeś?

- Liz. Nie lubisz, kiedy tak się do ciebie mówi?

- Ależ lubię. - I nagle musiała przygryźć policzek od środka, żeby powstrzymać łzy. - Tak nazywał mnie tata w dzieciństwie... Zwłaszcza wtedy, gdy uważał, że musi ze mną poważnie pogadać. Bo ja w młodości trochę szalałam - wyjaśniła - i nieraz coś mi przez to groziło.

- Zapewniam cię, że teraz nic ci nie grozi.

Zajrzała mu w oczy. W następnej chwili podjęła decyzję. Zmarszczyła komicznie nos.

- O, do licha. A ja właśnie miałam nadzieję, że jestem w niebezpieczeństwie.

Jack zrobił zdziwioną minę.

- Jakiego rodzaju?

Wstała i zaczęła wędrować dookoła stołu.

- Miałam nadzieję na pewien kłopot z żeglarzem, który jest bardzo sexy i któremu trudno będzie się oprzeć. - Po tych słowach stanęła za Jackiem, położyła mu dłonie na ramionach, pochyliła się i pocałowała go w policzek.

Objął jej dłonie swoimi, ale nie odwrócił się.

- Lizzie, ty jutro wyjeżdżasz.

Jakby jej musiał o tym przypominać...

- No to co, że wyjeżdżam?

Podniósł się z krzesła i stanął naprzeciw niej, tak blisko, że poczuła zapach jego wody po goleniu. Zajrzał jej w oczy.

- Wyobrażam sobie, że musisz być zmęczona.

- Ale nie aż tak zmęczona...

Jack miał na sobie świeżą białą koszulę, szytą na miarę, zaś Lizzie była w tym gościnnym szlafrocuku, włożonym na gołe ciało. Nietrudno byłoby się go pozbyć.. . Na razie zaryzykowała rozpięcie dwóch guzików jego koszuli. Ponieważ nie zaprotestował, dokończyła dzieła. Zaprotestował natomiast, gdy zabrała się do jego paska od spodni.

- Nie - powiedział cicho. - Nie teraz.

- Nie teraz? - spojrzała pytająco.

Uśmiechnął się do niej i nagle objął ją i pocałował. A zaraz potem chwycił ją na ręce i zaczął nieść - nie wiedziała gdzie, bo zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła - leżeli oboje nadzy w jego sypialni, na łożu, które wydało jej się królewskie.

I znów - na zielono-błękitnym, satynowym przeście-

radłę - byli tyra samym Jackiem i Lizzie co na oceanie, nie pamiętającymi o reszcie świata, oddanymi wyłącznie sobie, smakującymi rozkosz i pełnię życia.

Zasypiali potem ciasno objęci, tak blisko siebie, jakby mieli ze sobą zostać na zawsze. Choć przecież oboje wiedzieli, że dzień jutrzejszy ich rozdzieli. I każde z nich miało w sercu gotową miłość dla drugiego, jednak niewyznaną. Bo po co kusić los?

Następny dzień był pogodny i słoneczny, lecz w sercu Lizzie zanosilo się na burzę. Wychodząc przed hotel do limuzyny, którą Jack zamówił, aby zawiozła ją do domu, zdobyła się mimo wszystko na uśmiech.

Zauważyła, że mały holownik wprowadza właśnie do portu jacht Jacka. I pomyślała, że jej kapitan mógłby być cały czas na tym jachcie, odesławszy ją wczoraj hydroplanem straży przybrzeżnej samą na ląd. Lecz on postanowił być opiekuńczy do końca, postanowił polecić z nią, za co go tym bardziej kochała.

Teraz Jack rozmawiał z kierowcą, a do Lizzie zbliżył się hotelowy portier i zapytał, czy sąjakiés bagaże do przeniesienia? Podziękowała mu, bo przecież nic nie miała poza plastikową torbą ze starym ubraniem, którą trzymała pod pachą.

Tego poranka, kiedy się obudziła, zastała przerzuconą przez krzesło piękną suknię bez rękawów z kremowego jedwabiu. Pod krzesłem stała para dobranych do sukienki sandałków. Jack jej powiedział, że jedno i drugie pochodzi z hotelowego butiku i że ma nadzieję, iż utrafił w jej gust.

Rzuciła mu się na szyję, z czego wynikła nowa porcja wzajemnych pieszczot i cały seans rozkoszy.

Jack odwrócił głowę, usłyszawszy pytania portiera. Zostawił kierowcę i ruszył w stronę Lizzie. Na moment się zatrzymał i przekrzywił głowę.

- Pięknie wyglądasz - powiedział.

Sam też dobrze wyglądał, uznała Lizzie, w tej swojej kurtce marynarskiej, w białych spodniach i w szytej na miarę koszuli. Wcielenie sukcesu; bogaty człowiek, który może robić, cò zechce, I może mieć jakie zechce I kobiety.

Lizzie pogładziła dłonią sukienkę.

- Dziękuję ci jeszcze raz - powiedziała. - Wkrótce przestanę się mieścić w takich rzeczach... No, ale zdążyłam - uśmiechnęła się.

Jack skinął głową.

- Zadzwoń do mnie - powiedział - kiedy się dziecko urodzi.

- Oczywiście. A wiesz co... - zawiesiła głos. - Miałabym jeszcze małą prośbę.

Spojrzał na nią z odcieniem niepokoju.

- Nie bój się - podeszła bliżej i dała mu żartobliwego kuksańca w ramię. - Nie poproszę cię, żebyś się ze mną ożenił.

- Och...

- Ale może byś zechciał zostać ojcem chrzestnym Hanka, jak przyjdzie na świat?

Roześmiał się trochę zbyt głośno i jakby cynicznie.

- Ja? Nie znajdziesz sobie do tej roli kogoś lepszego?

- Dlaczego lepszego? Jack, przecież ty jesteś bardzo

dobrym człowiekiem. Chciałabym, żeby Hank wyrósł kiedyś na kogoś takiego, jak ty.

- Daj spokój, Lizzie... Ale dobrze - zdecydował niespodzianie Jack. - Pomyślę o tym.

Lizzie poczuła, że chmury zebrane w jej sercu nie są już tak czarne.

- To pięknie... A gdybyś się kiedykolwiek poczuł samotny, daj mi znać. Zadzwoń... Albo gdybyś na przykład potrzebował dobrej fryzjerki...

- Fryzjerki? A! - Jack przesunął dłońią po ostrzyżonej głowie. - Oczywiście - zgodził się. - Na razie zapuszczę sobie jednak chyba dłuższe włosy.

- W takim razie zostaniesz u mnie Ripem*, już nie Ahabem.

Jack nic nie odrzekł.

Lizzie odczekała chwilę, po czym ujęła za klamkę drzwiczek auta.

- No dobrze. To chyba pora się żegnać. Jeszcze raz dziękuję ci za gościnę i za wszystko.

- Lizzie - zrobił w jej stronę krok. Objął ją i przytulił. - Moja ty Dorotko. Bądź pewna, że nigdy cię nie zapomnę.

- Ja też cię nigdy nie zapomnę. - Uwolniła się z jego objęć, otworzyła drzwiczki i czym prędzej wsiadła do li-

Rip - Rip van Winkle. Bohater tytułowy opowiadania Washingtona Irvinga (1783-1859), wieśniak, który przespał 20 lat jednym ciągiem i doczekał się w tym czasie bujnych włosów oraz brody. (Przyp. tłum.)

muzyny. Bo chwilowy lepszy nastrój przysł i Lizzie poczwała, że znowu ściskają w gardle.

Jack domknął drzwi limuzyny... I w ten sposób zamknęła się przygoda Ahaba i Dorotki, opowieść prawie bajkowa, lecz nie do końca. Bo zabrakło jej przecież happy endu.

Lizzie siedziała przez chwilę nieruchomo. Potem, wiedzioną impulsem, otworzyła okno samochodu. Przywołała ruchem głowy Jacka. Kiedy się pochylił, sięgnęła ramieniem i objęła go za szyję.

- Przymknij mi coś - szepnęła.

Zajrzała jej z bliska w oczy, trochę zezując.

- Przymknij - podjęła - że nie będziesz już dręczył swego sumienia tamtym wypadkiem sprzed roku. Trzeba znormalnieć, Jack. Trzeba żyć z żywymi.

Kiwnął głową.

- Spróbuję.

Postarała się do niego uśmiechnąć, po czym zbliżyła usta do jego ucha.

- I jeszcze ci coś powiem. Nawet gdybym od początku wiedziała, że wszystko skończy się tak jak teraz, i tak bym cię pokochała.

Po tych słowach puściła go, uśmiechnęła się do niego i zamknęła okno.

- Możemy jechać - powiedziała głośno do kierowcy.

Kiedy ruszyli, nie oglądała się już za siebie. Wołała nie sprawdzać, czy jej wyznanie zrobiło jakiegokolwiek wrażenie na Jacku. Może nic dla niego nie znaczyło?

Znaczyło jednak wiele dla niej samej.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jack znów wyruszył na morze, na swej odnowionej „Hannah”.

Najpierw, tak jak przyrzekł Lizzie, próbował „wrócić do żywych”. Przez prawie dwa miesiące pozostawał na ładzie, spotykając się z kolegami, doglądając interesów, biorąc udział w paru zbiorowych imprezach. Lecz uprzykrzył to sobie i ponownie zatęsknił za samotnością.

Powietrze nad Florydą wydawało się dzisiaj rześkie i przejrzyste, nieco chłodne jak na połowę sierpnia. Wiał umiarkowany wiatr. Dobry dzień do żeglowania, pomyślał Jack, sterując swoją łodzią ku bezmiarowi oceanu.

Kilka mil od portu Jack ustawił żagle, włączył autopilota, po czym zeszedł do kokpitu i zasiadł na ławie. Sięgnął do kieszeni i wyjął naszyjnik, który tak niezgrabnie zerwał Lizzie w czasie pamiętnego sztormu. Policja odzyskała go od szmuglerów i odesłała przez kuriera dziś rano do hotelu.

Jack był teraz w posiadaniu czegoś, co do niego nie należało. Chętnie zachowałby ten drobiazg jako miłą sercu pamiątkę. Zarazem wiedział, że to niemożliwe, bo Lizzie bardzo była przecież przywiązana do swoich talizmanów.

Mógłby jej to odesłać pocztą, ale poczta gubi różne

rzeczy. Najlepiej więc będzie dostarczyć jej te medaliki osobiście.

No bo dlaczego nie? Przy okazji zobaczy, jak ona żyje, jak sobie daje radę. Nic zobowiązującego, krótka wizyta w określonym celu...

Westchnął. Po cóż oszukiwać siebie. Chciałby ją zobaczyć dlatego, że za nią tęskni. Taką jest prawda.

Położywszy naszyjnik na stole wstał i zaczął chodzić wzdłuż i w poprzek pomieszczenia, zaglądając w różne kąty. Wszystko było tu niby odnowione, zarazem jednak pełne wspomnień. Tych najdawniejszych, sprzed roku z górą, od których usiłował się uwolnić, i tych niedawnych, związanych z Lizzie, bardzo miłych.

Jack zatrzymał się i zamknął oczy. Jak żywe zjawily mu się pod powiekami sceny z gry w pokera w czasie burzy i potem to, jak się kochali. A ta historia z piratami? Uśmiechnął się. Dzielna Dorotka ciosem posrebrzanego pucharu powaliła grubego Bucka i tak położyła kres abordażowi.

Znów zaczął chodzić tam i z powrotem. Kiwał głową i rozpamiętywał. Nagle usłyszał w myślach ostatnie słowa, jakie skierowała do niego, gdy się żegnali, pod hotelem. „Nawet gdybym wiedziała... i tak bym cię pokochała”.

A więc tak: Lizzie go kochała. Ale za co? Nie bardzo mógł to zrozumieć. Czy z wdzięczności za to, że udzielił jej pomocy jako rozbitkowi? E, przesada. Chyba też nie za to, że był tak bogaty? Bo cóż ona miała z tego bogactwa. Więc kochała go dla niego samego?

- A wart jestem tego? - powiedział głośno.

W tym momencie odezwał się jego telefon komórkowy. Jack zaklął. Zapomniał go wyłączyć. I gotów był to zrobić teraz, jednak z niejasnej przyczyny, zamiast wyłączyć, odebrał telefon.

A kiedy kończył rozmowę, bardzo był zadowolony, że właśnie tak postąpił.

- Lizzie, masz jeszcze jednego klienta.

Zerknąwszy na zegarek, Lizzie jęknęła. Potem spojrzała na recepcjonistkę, której gruby makijaż przywozdił na myśl malunki na twarzach wojowników.

- Penney, przecież to sobota. Powinnam mieć wolne już od południa, a zrobiła się prawie trzecia. Może ktoś mnie zastąpi?

Kobieta zatknęła pisak za ucho i wykrzywiła ukarminowane wargi w sprytnym uśmieszku.

- Proponowałam temu panu kogoś innego niż ty, ale on chce tylko ciebie. Poza tym inne dziewczyny są teraz zajęte.

Wspaniale. Lizzie wparła pięść w bolący krzyż i spróbowała się wyprostować. Niełatwo pracować na stojąco, kiedy się jest w ciąży. W dodatku włożyła dziś niemądrze buty na obcasie.

- No dobra - westchnęła. I ruszyła do poczekalni, aby poprosić natręta.

W poczekalni siedziało kilka kobiet, lecz ani jednego mężczyzny. Lizzie wróciła do Penney.

- I gdzie on jest? - zapytała. - Bo tam go nie ma.

- Zajrzyj może do salki obok. Zdaje się, że myją mu teraz włosy.

- Jak on się nazywa?

- Nie wiem.

- Nie zapytałaś?

Penney wzruszyła ramionami.

- Jasne, że zapytałam. Ale ten pan woli być incognito. Powiedział tylko, że już go kiedyś strzygłaś... Bardzo przystojny gość, muszę dodać. Może ci przyniesie szczęście?

Lizzie nie potrzebowała takiego szczęścia. Ani też nie potrzebowała żadnego mężczyzny. Oprócz jednego - lecz ten był dla niej nieosiągalnym marzeniem. Już dwa miesiące mijały bez choćby słowa od Jacka. Zbyt długo, aby można uwierzyć, że zobaczą się jeszcze kiedykolwiek.

Ruszyła do salki obok. Zajrzała do niej i zobaczyła samotnego mężczyznę siedzącego pod suszarką w rogu. Był w granatowych spodniach i drogich, sportowych mokasynach. Jego ramiona spowijał biały, frotowy ręcznik. Twarz skryta była prawie całkowicie pod hełmem suszarki. Lizzie podeszła i wyłączyła szumiące urządzenie.

- Witam - powiedziała. - Czym mogę służyć? Strzyżenie... ?

- Cokolwiek, cokolwiek, Dorotko - rozległ się spod hełmu głęboki głos Jacka.

Lizzie zatkało. Zrobiła krok w tył i oparła się całym ciężarem o wykafelkowany blat pod lustrem.

Jack wstał spod suszarki, odrzucił ręcznik i zbliżył się do niej. Uśmiechnął się, oczy mu błyszczały. Włosy także lśniły i najwyraźniej nie wymagały strzyżenia.

- Jak sobie radzisz? - zapytał.

Marnie, chciała odpowiedzieć. Czuję się samotna. Tęsknię.

- Wszystko w porządku - wyprostowała się i odgarnęła grzywkę z czoła. - A co u ciebie?

- U mnie też dobrze.

- No to się cieszę.

Jack wsadził obie ręce do kieszeni i wpatrywał się w nią, milcząc. Lizzie spuściła wzrok, ale zaraz go podniosła.

- Dobrze cię widzieć, Jack.

- I ciebie dobrze widzieć - odpowiedział. - Chociaż właściwie coś tu kłamię...

- Nie jest dobrze mnie widzieć?

- Ależ nie, bardzo dobrze, tylko że - potarł czubek nosa. - Skłamałem, kiedy mnie zapytałaś, co u mnie.

- Jak to?

- No bo widzisz... - Jackowi nie było dane dokończyć tego wyznania, ponieważ do salki wkroczyła nagle stylistka z kolejnym kandydatem do mycia głowy.

- Może wyjdziemy do holu? - zaproponowała Lizzie.

Wyszli, ale i tu nie było zacisznie, bo do salonu wtargnęły właśnie trzy hałaśliwe nastolatki.

Lizzie westchnęła.

- Pozostaje tylko pokój śniadaniowy. Chodźmy tam... A więc co mówileś?

Niestety, pokój śniadaniowy okupowała Penney, która zasiadła za stołem z porcją pizzy pepperoni na tekturnym talerzyku. Lizzie uśmiechnęła się przeproszając - co najpierw do Penney, potem do Jacka.

- Mamy pecha. Tak to u nas bywa, zwłaszcza w soboty. Ciągły ruch.

Wrócili do hołu. Jack spojrział na zegarek.

- Lizzie, a o której ty dzisiaj kończysz?

- Właściwie... - urwała. - Właściwie już skończyłam. Ty miałeś być moim ostatnim klientem. - Przez chwilę zastanawiała się. - Naprawdę przyjechałeś, żeby się ostrzyć?

Jack pogładził się po krótko ostrzyżonych włosach.

- No nie. Jasne, że nie. Mam ze sobą coś, co chciałbym ci pokazać.

Uniosła brwi.

- No to pokaż.

- Ale ja to mam w porcie. Pojedź ze mną, najlepiej zaraz. Oczywiście jeśli możesz.

Lizzie zagryzła dolną wargę. No właśnie, jeśli może. Czuła się okropnie zmęczona i głodna. Ta pizza pepperoni... Poza tym... Jack nie odzywa się miesiącami, i teraz nagle... No tak, ale Jack to zawsze Jack.

- Czy ja wiem... - zwlekała.

Jack zrobił krok w jej stronę.

- Nie pożałujesz. Na pewno.

- Na pewno? - droczyła się z nim, ale już ściągała swój fryzjerski fartuszek. - Dobrze, jeszcze raz zaufam ci, Ahabie.

Posłał jej promienny uśmiech.

- Grzeczna Dorotka. Gwarantuję, że nie pożałujesz. Gwarantuję.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Po kwadransie samochód skręcał ku bramie jacht-klubu „Sky Bridge”, cieszącego się w Miami sławą instytucji ultraekskluzywnej. Lizzie poczuła się nieco spłoszona. Spojrzała po sobie: wyglądała skromnie. Bo też tego poranka ubierała się do pracy, a nie na występy w ultraekskluzywnym „Sky Bridge”*.

Jadąc tu z Jackiem niewiele z niego wyciągnęła. Do-wiedziała się jedynie, że przez ostatnie dwa miesiące był niesłuchanie zajęty, ponieważ przemierzał świat szlakiem sieci swych hoteli. Biedaczek, ironizowała w myślach Lizzie. Zmęczył się, podczas gdy ona odpoczywała pośród swych klientów, bawiąc się nożyczkami w różne wystrzygania na ich głowach.

Przez ten kwadrans narastał w niej także żal, iż Jack ani się zająknął o jakiejś tęsknocie. Ona myślała o nim dni i noce, a on...?

Zresztą trudno, niniejsza z tym. Nawet jeśli to ma boleć, pobędzie z nim trochę, obejrzy, co jest do obejrzenia. A potem się pożegnają i pozostaną parą dalekich znajomych. Bo chyba nawet nie przyjaciół.

*'Sky Bridge' - dosł. „Podniebny mostek kapitański”. (Przyp. tłum.)

Zajechali na parking. Jack wyłączył mercedesa. Wyjął kluczyki ze stacyjki.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział.

Przeciągnęła się.

- No dobrze. I co dalej? Co chciałeś mi pokazać?

Spojrzał na nią.

- Jest coś, co chciałbym ci dać, zanim jeszcze wysiadziemy z auta.

- A cóż to jest?

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyłowił z niej małe, wykładane burgundowym aksamitem pudełeczko. Wręczył je Lizzie.

Wahała się przez chwilę, z bijącym sercem. Ale kiedy zajrzała do środka, puls serca zwolnił. Ponieważ ujrzała tylko swój łańcuszek z medalikami, nic więcej. A gotowa była się spodziewać - bagatela - pierścionka zaręczynowego. Ach ty głupia, skarciła się w myślach. Ujmując łańcuszek dwoma palcami, skarciła się powtórnie. Bo w końcu jest przecież powód do radości: odzyskała oto ważną pamiątkę po rodzicach.

Uśmiechnęła się do Jacka.

- Dziękuję. Gdzieś to odnalazł?

- Właściwie znaleźli to nasi piraci. Pod listwą na pokładzie. Zapomniałem ci o tym powiedzieć od razu, bo było takie zamieszanie. No i policja im to skonfiskowała, po czym odesłała medaliki do Key Largo, już po twoim wyjeździe.

Lizzie kiwała głową, słuchając.

- Pomóż mi to nałożyć - poprosiła Jacka.

Odwróciła się tyłem, a on manipulował przy zapię-

ciu, łaskocząc ją w kark. Przez jej plecy przebiegły dreszcze i żywa stała się pamięć wszystkich pieśzcot, jakie ofiarowali sobie kiedyś tam, bardzo dawno temu.

Bawiąc się świętym Krzysztofem od ojca i pozłacanym serduszkciem od mamy, Lizzie zapytała, nie podnosząc oczu:

- A więc pofatygowałeś się aż taki kawał, żeby mi to zwrócić? Osobiście?

Jack wyczuł w jej głosie cień zawodu.

- To nie wszystko - pośpieszył z odpowiedzią. - Chodź. - Otworzył drzwiczki mercedesa, wysiadł, obszedł auto dookoła i po dżentelmeńsku pomógł wydobyć się z fotela Lizzie. Po czym ujął ją za rękę, elektronicznym pipnięciem zamknął samochód i nie puszczać podanej dłoni skierował się jachtklubowym deptakiem ku nabrzeżu. Podreptała za nim.

Dotarli do długiego mola, które wybiegało w morze, załamując się pod koniec w kształt litery „L”. Po obu stronach cumowały niezliczone jednostki pływające.

- Chodźmy - Jack pociągnął Lizzie. Zadudniły ich kroki na deskach. Mniej więcej w połowie mola uwagę Lizzie zwrócił spory stateczek, bo nie był to już zwykły jacht. Cumował bokiem, nie czołowo, zajmując niemało miejsca. I właśnie przed tym czymś Jack się zatrzymał.

- No - powiedziała. - Jesteśmy na miejscu. Jak ci się ta łódź podoba?

Lizzie zerknęła na swego kapitana. Splótł ręce na piersiach i promieniał.

- To twoje?

Powoli skinał głową.

Pomyślała, że znów jest rozczarowana. Ba, ostatecz-
nie rozczarowana. Kupił sobie po prostu statek i teraz
nim się chwali. A ona - cóż ona może mieć wspólnego
z tymi wszystkimi zabawkami, jakie funduje sobie ten
milioner?

Postarała się zrobić mimo wszystko uprzejmą minę.

- Wykosztowałeś się, Jack. Ładne cacko.

- Wcale nie takie drogie - zaprzeczył. - Ale najważ-
niejsze, że może to prowadzić jeden człowiek. Nieby-
wałe, co?

, Jeden człowiek". Dobrze usłyszała te słowa. W jego
życiu nie ma i nigdy nie będzie miejsca dla niej. Ścis-
nęła ją w gardle.

Odczekała chwilę. Podeszła bliżej do stateczku.

- A gdzie tu są jakieś żagle? - odwróciła głowę.

- Nie ma żagli - wzruszył ramionami. - To jest jacht
motorowy i w ogóle wszystko na nim jest zmechani-
zowane. Lub nawet zautomatyzowane. Chodź, poogląda-
my sobie to od środka.

Lizzie nie miała specjalnej ochoty wchodzić do środ-
ka. Jednak Jack ujął ją znowu za rękę i pociągnął
w stronę trapu. Poszedł pierwszy po wąskim mostku
i kluczykiem wydobytym z kieszeni otworzył drzwi
w burcie.

- Zapraszam - powiedział.

Weszli do obszernej mesy, a właściwie salonu, wy-
kładanego drewnem tekowym, z wygodną kanapą
i panoramicznymi oknami. Ściany utrzymane były
w barwach koralu i wapnia - typowej tonacji Karai-
bów. Wszystko było eleganckie, więcej, wyrafinowane

i niemniej solidne. Naprzeciw kanapy rzucał się w oczy ogromny, płaski ekran telewizora.

- No, no - pokiwała głową Lizzie. - Aleś sobie gniazdko wymościł... A te schodki - pokazała - gdzie prowadzą? Na księżyc?

Uśmiechnął się.

- Tak, na księżyc. Albo na słońce... Na mały taras do opalania. Bardzo dyskretny.

Spojrzała na niego. Po co mu dyskrecja? W pojedynkę?

Milczeli przez chwilę.

- A co się stało z biedną „Hannah”? - zapytała Lizzie. - Oddałeś ją na złom?

- No wiesz! Wyremontowałem ją. I będę jej czasem używał. Ale myślę, że ten stateczek jest dużo bezpieczniejszy. No i obszerniejszy. Dlatego go kupiłem.

- Obszerniejszy... - Lizzie podeszła do okna i spojrzała na morze. - Ale właściwie po co, skoro nie myślisz o żadnej załodze?

- To prawda, nie myślę - przyznał. - Za to myślę... - zawiesił głos. - Myślę o rodzime.

O jakiej znów rodzinie? Lizzie odwróciła się. I zaczęła się w niej żarzyć mała nadzieja. Może nie wszystko stracone?... E, niemożliwe. Porzućmy nadzieję. Po co sobie ranić serce.

Oparła się plecami o szybę. Szyba była chłodna. Lizzie uśmiechnęła się chłodno.

- No to dziękuję za pokaz. I za odwiedziny w Miami. Cieszę się, że masz tę swoją nową zabawkę, Jack. Wiesz, co mówią o męczczyznach i ich zabawkach...

Zrobił krok w jej stronę.

- Tu nie chodzi o zabawę, Liz.

Liz? Co mu przyszło do głowy. Po co ta poufałość? Do czego on właściwie zmierza?

- Nie o zabawę? A o co? Chyba, że ten pływający hotelik - wskazała - dołączysz do sieci swoich hoteli na ładzie? Zechcesz ciągnąć z tego zyski?

- Nie są mi potrzebne żadne nowe zyski, mam dość pieniędzy - pokręcił głową. - Ty mi jesteś potrzebna.

Chyba się przesłyszała... Nie, on tego nie powiedział. Ściągnęła brwi.

- Proszę?

- Dobrze usłyszałaś. Ty jesteś mi potrzebna, Liz. A ten okręcik jest dla nas obojga... Dla trojga - poprawił się.

Nagle zrobiło jej się bardzo gorąco i chłodna szyba za plecami zaczęła parzyć. Oderwała się od niej. Chwiejnym krokiem podeszła do kanapy i opadła na nią. Nie wiedziała co powiedzieć. Bezwiednie zaczęła liczyć nity spajające sufit ze ścianą. Te nity były absolutnie realne, natomiast reszta sytuacji wydawała się ze snu.

Jack usiadł obok niej. Otoczył ją ramieniem.

- Lizzie, popatrz na mnie - poprosił.

Powoli obróciła głowę. W oczach Jacka dojrzała troskę zmieszaną z iskrami wesołości.

- Wiesz - Jack mówił dalej - nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Próbowałem żyć jak dawniej. Ale bez ciebie nic nie chce wrócić na swoje dawne miejsce.

Słuchała milcząc.

On pocałował ją w policzek.

- Wypłynąłem z Key Largo na pokładzie „Hannah”. Po dwóch dniach poczułem, że jestem okropnie sam. I wtedy podjąłem decyzję.

Lizzie odczekała chwilę.

- Jaką decyzję? - szepnęła.

- Jaką? Ze nie będę ojcem chrzestnym twojego Hanka.

Masz ci los... Nowa komplikacja.

- Nie będziesz? Dlaczego? Zdawało mi się, że się zgodziłeś.

Znowu pocałował ją w policzek.

- Nie chcę być ojcem chrzestnym, bo wolę być ojcem rzeczywistym. Oczywiście, jeśli ty mi na to pozwolisz.

Spojrzała na niego.

- Jak to „pozwolę”, Jack? Czy mógłbyś się wyrazić jaśniej?

- A nie mówię jasno?... Poczekaj - sięgnął do kieszeni spodni. - Może to ci wszystko wyjaśni.

W rękę Jacka ukazało się kolejne pudełeczko, ale tym razem niebieskie.

- To dla ciebie - powiedział. - Może powinniśmy to byli kupować razem, w porozumieniu? Ale mam nadzieję, że i tak mi nie odmówisz.

Lizzie zajrzała do etui. Jej oczom ukazał się pierścionek zaręczynowy z okazałym diamentem. A więc intuicja, którą miała w samochodzie, wtedy gdy Jack wręczał jej odnalezione talizmany, nie była tak całkiem bez sensu.

- Elizabeth Matheson - odezwał się Jack. - Czy chcesz być moją żoną?

Zajrzała mu w oczy, zastanawiając się, dlaczego ten mężczyzna tak długo zwlekał? A teraz... a teraz prosi ją o rękę, jednak nie mówiąc o miłości. O co mu tak naprawdę chodzi?

- Czy robisz to... głównie ze względu na Hankę? Myślisz, że sama sobie nie dam rady? Postępujesz szlachetnie, ale...

- Poczekaj - przerwał jej. Sięgnął do pudełeczka i wydobyl pierścionek - Otóż - uśmiechnął się - robię to, bo nie zniósłbym myśli, że cię przeoczyłem w życiu. Bo jesteś promieniem, który mnie ogrzał i rozweselił. Bo cię pokochałem, Lizzie.

A więc jednak powiedział, że kocha... Wyjęła mu kółeczko z palców.

- Jesteś tego wszystkiego pewien, Jack?

- Nigdy niczego nie byłem tak pewny, jak tego.

- Ale ze mną - zaczęła się droczyć - czeka cię wiele kłopotów.

- Lizzie...

- Rodzina to rzecz poważna, wiesz. Przygniecie cię odpowiedzialność.

- Lizzie...

- Będziesz miał żonę, która nie znosi befsztyków i nic na to nie poradzi.

- Lizzie!

- Słucham?

- Kiedyśmy się zegnali, w Key Largo, powiedziałaś mi, że mnie kochasz. Ufam Bogu, że to sienie zmieniło.

Ale rozumiem, że możesz być trochę rozżalona, bo w sumie nie najlepiej cię potraktowałem.

Włożyła sobie pierścionek na palec i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Źle mnie potraktowałeś? Co ty opowiadasz! Jesteś cudnym człowiekiem, Jack. Nie spotkałam nigdy nikogo miłszego, przystojniejszego i bardziej opiekuńczego niż ty. No i w ogóle uratowałeś mi życie.

Przycisnął ją.

- Nie, to ty mi uratowałaś życie.

Wzruszyła ramionami.

- Nie ma o czym mówić. Palnęłam po prostu pucharem tego łotra w łeb. Ale to żadna sztuka.

- Nie miałem na myśli pirata - pokręcił głową. - Chodzi mi o całe moje życie. Dzięki tobie przestałem egzystować bez celu. Ale i ta historia z piratem była ratunkiem... Czy wciąż mnie kochasz, Liz?

Jak mógł w to wątpić? Po co pyta?

- Jasne, że tak - zajrzała mu w oczy. - Sporo zrobiłeś, żebym się odkochała, ale ci się nie udało.

- Przepraszam, przepraszam. - Jack przykląkł na jedno kolano.

- Wstań, kawalerze - zaczęła go podnosić.

- Nie wstanę, dopóki się nie zgodzisz.

- Nie zgodzę się na co?

- Dorotko, przestań. Bądź moją żoną. Proszę.

- No już dobrze, dobrze. Tylko wstań, kapitanie.

- To znaczy, że mówisz „tak”?

W milczeniu skinęła głową.

W srebrnych oczach Jacka zapłonęła radość.

- Musimy to uczcić - powiedział. - Pocałujmy się porządnie. - Wstał i przygarnął Lizzie. Musnął jej usta swoimi, a gdy rozchyliła wargi, wszedł w nią z całą pasją.

Odpowiedziała mu z równą namiętnością. Jack poszukał jej piersi, wtedy Lizzie pociągnęła go za sobą na kanapę.

- Chodź - szepnęła. - Chodź do mnie.

- A jeszcze możesz? - pogładził ją po lekko wypukłym brzuchu.

- I mogę, i chcę.

- Ale w pierw powinienem ci coś jeszcze pokazać.

- Coś swojego?

Zaśmiał się.

- Raczej coś twojego.

- Jak to, mojego?

Jack podniósł się z kanapy i wyciągnął rękę.

- Chodź.

Wstała pomału, a on zaczął ją prowadzić ku wyjściu.

- Dlaczego wychodzimy? - zapytała.

- Zaraz tu wrócimy - zapewnił. - Ale to coś twojego najlepiej widać z zewnątrz.

Mojego, zastanawiała się Lizzie... Jakiś nowy prezent? Ale przecież wszystko już dostała od Jacka, o czym mogła marzyć: jest on sam, odnalazły się talizmany, no i jest zaręczynowy pierścionek z diamentem.

Znaleźli się na pomoście.

- W porządku - powiedział Jack. - A teraz się rozejrzyj.

Lizzie zmarszczyła czoło. Stali na molo, z prawej i z lewej widać było różne łodzie, chlupotała woda, w górze świeciło słońce. Spojrzała pytająco na swego kapitana.

- Tam, na dziobie - pokazał. I pociągnął ją za rękę ku przodowi jachtu.

Obłą burta, kiedy się ku niej zbliżyli, odsłoniła swą tajemnicę. Lizzie roześmiała się. Zobaczyła litery, układające się w jej własne imię „Lizzie”.

Odwróciła się i zarzuciła Jackowi ręce na szyję.

- Ty mój czarodzieju - powiedziała. - „Lizzie”... A wiesz, że nie miałam nigdy przyjaciółki o takim imieniu? Ta będzie pierwsza.

Jack odchrząknął.

- Właściwie... Właściwie to nie ja dałem tej łodzi twoje imię.

- Jak to nie ty?

- Bo widzisz... Zadzwoił do mnie pośrednik i powiedział, że ma do sprzedania duży jacht. On twierdził, że to wyjątkowa okazja, a ja początkowo nie miałem zamiaru nic kupować. I wtedy on mówi, że ten stateczek nazywa się „Lizzie”. Cumuje w Miami... Nie mogłem nie pomyśleć, że to przeznaczenie i że w tym szaleństwie jest jakaś metoda. Od razu się zdecydowałem. Widać ty i ja musieliśmy być razem.

Pocałowała go czule.

- Żadnego szaleństwa... - zaczęła - żadnego szaleństwa w tym nie ma. Ale przeznaczenie - na pewno było.

Oddał jej pocałunek.

- I tak bym w końcu ten jacht nazwał twoim imieniem. Ten czy inny.

Zaśmiała się.

- Lubisz szafować imionami dziewczyn. Ostatnio pływaliśmy na jakiejś „Hannah”.

- „Hannah”? To nie jest imię dziewczyny. Tak nazywała się moja matka.

Lizzie spoważniała.

- Przepraszam. Nie przyszłoby mi do głowy... Wiem, że kochałeś bardzo swych rodziców.

Jack wyciągnął rękę i dotknął talizmanów na piersi Lizzie.

- A ty kochałaś swoją rodzinę... Teraz zaś my sami będziemy rodziną. Ty, ja i Hank.

Przytuliła się do niego. Chwilę stała nieruchomo.

- Słyszę twoje serce - powiedziała.

- To serce bije dla ciebie - pogładził ją po włosach. Odpięła guziczek jego koszuli i pocałowała go w pierś.

- Wracamy na pokład? - zapytała. - Muszę się już położyć. Cały dzień byłam na nogach.

- Oczywiście - zgodził się. - Oczywiście. Zapraszamy.

- Zapraszamy?

- My obaj. - Po tych słowach chwycił ją na rękę.
- Skoro nóżki bołą, popłyniesz powietrzem.

Lizzie mocno obejmowała go za szyję, kiedy niósł ją przez trap.

- Poczekaj - powiedziała, zanim otworzył drzwi. - Postaw mnie na chwilę - Stanąwszy na pokładzie,

ściągnęła swoje pantofle na obcasie i cisnęła je za burtę.
- Uff! - odetchnęła. - Cały dzień chciałam się ich pozbyć.

Jack spoglądał z zaciekawieniem.

- Brawo. Może być coś jeszcze do tego dorzuciła?

Lizzie rozejrzała się szybko na boki. Ponieważ na molo było pusto, opuściła ramiączka biustonosza, rozpięła go, wyciągnęła przez rękaw swej bluzki, po czym w ślad za butami wrzuciła do wody.

- No i jak? - zapytała.

Jack skrzyżował ramiona.

- Wspaniale. Jedź dalej, nie przerywaj.

- A habie, jesteś okropny.

- A ty, Dorotko, jesteś cudowna.

Lizzie westchnęła, znów się rozejrzała, po czym sięgnęła pod spódnicę. Paroma ruchami ściągnęła majtki i zrobiła z nimi to, co z butami i stanikiem.

- No a teraz? - zajrzała Jackowi w oczy.

Potarł dłońią policzek.

- Zastanawiam się...

Skupiła spojrzenie na zapięciu jego spodni.

- Może byście się obaj zastanowili?

Uśmiechnął się.

- Cóżja z tobą pocznę przez następnych pięćdziesiąt lat?

- Będzie nam wspaniale. Ale wolałabym wiedzieć, co zrobisz ze mną nie za pięćdziesiąt lat, tylko zaraz... zaraz jak wejdziemy do środka - pokazała głowę.

Jack uniósł jedną brew.

- Akto powiedział, że zamierzamy wejść do środka?

- A nie zamierzacie...? - sięgnęła do suwaka jego spodni.

Jack objął Lizzie i całując ją, pchnął lekko ku drzwiom, tak że się o nie oparła. Osłaniały ich teraz płytkie ścianki wiatrochronu.

- Nie masz pojęcia - oderwał się od jej ust - jak tęskniłem za tobą przez te miesiące.

Ona metodycznie rozpiniała jego koszulę.

- Ja bardziej tęskniłam - pocałowała go w splot słoneczny. - I chciałabym cię też kiedyś - spojrzała w górę - zabrać na wycieczkę balonem, żeby się z tobą kochać w powietrzu.

- No nie wiem, nie wiem. - Sięgnął dłonią w dół i przesunął nią po udzie Lizzie.

- Będzie nam jak w niebie, zobaczysz - szepnęła. - Zabiorę cię do nieba.

- Lizzie, po co - ucałowała jej oczy. - Z tobą wszędzie jest i tak jak w niebie.

Nikt nigdy nie powiedział jej nic tak miłego. Ale też nigdy dotąd nie spotkała Jacka Dunłapa.

- No to na co czekamy? - zapytała. - Wybierzmy się tam zaraz.

- Racja. - Jack dotarł dłonią do jej najczulszego miejsca. Zagłębił w nie palce. Lizzie zamruczała jak pogłaskany kot.

Wtem ktoś w pobliżu zagwizdał.

Oboje zbudzili się z transu. Jack cofnął rękę.

- Jednak się schowajmy - powiedział. - Za chwilę ktoś na nas naśle policję i wsadzą nas do aresztu.

Dla Lizzie myśl o tym, że miałyby choć minutę spę-

dzieć bez Jacka w miejscu odosobnienia, była nie do zniesienia.

- No to do środka - zgodziła się, szukając za sobą klamki.

- Właśnie. Bardzo chcę już być w środku. - Jack pomógł otworzyć drzwi.

Lizzie zachichotała. Opadając w salonie na kanapę zatroskała się zaś nagle o los swojego dobytku, pływającego w wodzie.

- Może źle zrobiłam? - zapytała Jacka. - Z moimi rzeczami. Ktoś jeszcze pomyśli, że jakaś kobieta utopiła się tutaj.

- Nigdy nie słyszałem - pokręcił głową - żeby topielice wyzbywały się z rozmysłem swoich majątek i biustonoszy. A więc przestań się martwić... Ale skoro tak rozmawiamy, to może chcesz, Dorotko, żebym cię najpierw oprowadził trochę po statku?

- Rychło w czas, Ahabie.

- Rozumiem. - Jack wstał z kanapy. - W takim razie powiedzamy tylko sypialnię. - Wyciągnął rękę. - Chodźmy.

Zbiegli po schodkach na dół. Po paru chwilach leżeli już na szerokim łożu, rozkopując satynową pościel.

- O, lustro! - ucieszyła się Lizzie, uśmiechając się do siebie samej w zwierciadle na suficie.

- Właśnie - obrócił się na plecy Jack. - Bo jak to mówią: „Pod pańskim okiem każda rzecz lepiej idzie”.

- Mam nadzieję, że mówiąc „pańskie”, masz na myśli i „pana”, i „panią”?

- A jakżeby inaczej? W dwudziestym pierwszym wieku? - Jack usiadł, rozbierając się i pomagając też Lizzie zrzucić z siebie resztki odzienia.

Znów położyli się obok siebie na plecach.

- No, to jest nas czworo - Jack pomachał ręką do odbicia na suficie.

- Właściwie sześcioro - uzupełniła Lizzie. - Ale obaj Hankowie nie będą nas podglądali.

- Dorotko, uważaj, co mówisz - obrócił się ku niej Jack. - Żarty mają swoje granice.

- Tak jest, kapitanie - zgodziła się. I przywarła do Jacka, z zamkniętymi oczami, postanawiając dalej pa-
trzeć już wyłącznie sercem.

Zaczęły płynąć minuty i kwadranse, o czym wie-
działy jednak tylko zegarki na przegubach kochanków,
bo dla nich samych czas stanął. A kiedy znowu czas
ruszył, oboje byli zdziwieni, że stateczkiem coś kołysze.
Czyżby się zmieniła pogoda? Nie, iluminatory pełne
były błękitnego nieba i słońca.

Lizzie zaśmiała się.

- To myśmy tak rozkołysali ten okręt! Mam nadzie-
ję, że na zewnątrz nie zebrali się żadni gapie.

- No wiesz - obruszył się Jack. Na wszelki wypadek
wstał jednak i wyszedł na korytarz, skąd można było
zaobserwować molo.

- Coja z tobą mam, Dorotko - powiedział wracając.
- Naprawdę napędziłaś mi stracha. Ale jest pusto.

Przeciągnęła się.

- Ale kochasz mnie, prawda?

- Uwielbiam - westchnął. - Uwielbiam.

Lizzie zerknęła w sufit. I powiedziała do Jacka tam, w lustrze:

- Jeśli kochasz, to... to ja bym miała do ciebie ma-
lutką prośbę.

Zmarszczył czoło.

- Proś, o co chcesz. Tylko nie namawiaj mnie, że-
bym został jak ty wegetarianinem.

Uniosła się i pocałowała go w policzek.

- Nie, to coś o wiele łatwiejszego. To by się wiązało
z naszym ślubem.

- Ze ślubem?

- Właśnie. Otóż chcę, żebyśmy wzięli go w pewnym
ładnym miejscu, które bardzo dobrze znam...

Jack sam sobie nie wierzył, że zgodził się na coś podobnego. Jednak Lizzie umiała go tak podejść, zaga-
dać, rozśmieszyć, że nie stawiał oporu. Ba, wyczyniała
z nim różne czary przeciw od początku, bo czyż nie
zrobiła mu tak, że się zakochał, choć nie miał zamiaru,
że trwale zeszedł na ląd, on, człowiek morza, a w końcu
że dał się namówić na ślub w powietrzu? Niebawem,
po prostu niebawem.

I oto właśnie byli w powietrzu: Lizzie, pilot Grady
(jej kolega z aeroklubu), pastor Michaels (przypadkowo
sympatyk baloniarstwa), no i Jack. Tłoczyli się we
czwórkę w kruchym, wiklinowym koszu.

Lizzie nigdy nie wyglądała piękniej niż dzisiaj,
w każdym razie według opinii Jacka. Mimo zaokrąg-
lenia zmieściła się jeszcze w prawdziwą suknię ślubną
z kremowej koronki. Jack pamiętał moment, kiedy ją

wkładała, wciągając brzuch i robiąc miny. I nie mógł się też doczekać, kiedy będzie ją zdejmowała. Spojrzał na zegarek. Do nocy poślubnej pozostało - drobiazg - osiem godzin.

Ową noc mieli spędzić oczywiście nie w balonie, a na stałym ładzie, a może na „stałym oceanie”, jak to sobie określał w myślach Jack. Bo niewykluczone było, że jeszcze dziś wyruszą w podróż poślubną, naturalnie na pokładzie „Lizzie”.

Niewielki wietrzyk poruszał złotą grzywką panny młodej, a słońce zapalało iskry w jej błękitnozielonych oczach. Lizzie posłała promienny uśmiech Jackowi. Tymczasem balon wznosił się cały czas w górę. Było cicho, jeśli nie liczyć syku palnika, ogrzewającego powietrze w czaszy.

- Wydajesz się trochę zdenerwowany - doszła do wniosku Lizzie. - Masz lęk wysokości?

Nachylił się i pocałował ją w policzek.

- Niespecjalnie. Ale przyznam, że... - urwał i rozejrzał się - że wolałbym brać ślub w jakimś normalnym kościele. A nie tutaj, tysiące metrów nad ziemią.

- Jakże tyś! - zaśmiała się Lizzie. - Najwyżej trzydzieści metrów. I w dodatku jesteśmy na uwięzi.

- Trzydzieści? - Jack spojrział w dół. - Niemożliwe.

- Trzydzieści - odezwał się Grady. - Cały czas obserwuję wysokościomierz.

Wznosili się jeszcze przez chwilę. Po następnych paru dziesięciu metrach skończyła się linka cumownicza.

- Jesteśmy na miejscu - ogłosił pilot, redukując płomień palnika.

Pastor poprawił na sobie stulę.

- Zapraszam więc do ceremonii.

Państwo młodzi ustawili się frontalnie i zaczęli powtarzać ustalone formułki. Zanim jednak doszło do pierwszego pocałunku małżeńskiego, Lizzie poprosiła o chwilę przerwy.

- Wielebny ojciec - zwróciła się do Michaela - chciałabym najpierw o coś zapytać pana młodego.

- Uprzejmie proszę - uśmiechnął się pastor.

Zajrzała Jackowi w oczy.

- Czy przyrzekasz, że choć raz w życiu spróbujesz ekologicznego tofu?

Jack zmarszczył czoło.

- Tofu? No, jeśli nie da się inaczej...

- Czy obiecujesz, że będziesz ze mną uzgadniał różne wydatki? Bo masz trochę skłonności do rozrzutności. Nie chcę powiedzieć, że nie lubię na przykład tej nowej łodzi, ale...

Ona jest niezrównana, pomyślał Jack. Niezrównana.

- Oczywiście. Zgoda. Czy coś jeszcze?

- Tak. Przyrzeknij mi, że kiedy Hank będzie płakał w nocy, wstaniesz czasem, żeby go nakarmić i przewinąć.

- Załatwione - skinął głową.

- Świetnie - ucieszyła się. - A teraz możesz już pocałować swoją żonę.

- Bogu dzięki.

I zaczęli się całować, a całowali się tak, jakby nikogo poza nimi nie było w gondoli balonu, a może i na całej ziemi. Kto wie, może i w niebie?

Kiedy się od siebie oderwali, balon spływał już w dół. Pastor poruszył się i odchrząknął.

- Zanim wylądujemy, chciałbym wam odczytać krótką modlitwę baloniarzy. Wydaje mi się ona całkiem a propos. Posłuchajcie: „Niech wam zawsze sprzyjają dobre wiatry. Niechaj słońce osłaca wasze szlaki. Kiedy się wznosicie, niech wasze serca także się wznoszą. I oby dobry Bóg zawsze was sprowadzał bezpiecznie w dół, w kochające objęcia Matki Ziemi”.

Wielebny Michaels skończył recytować; równocześnie kosz balonu stuknął o deski platformy. Pochwyciły go ręce klubowych kolegów Lizzie. Zaczęły się wiwaty, do których dołączyli też znajomi Jacka z Key Largo, wśród nich Brevard, organizujący wieczorny poczęstunek w hotelu.

Ów poczęstunek weselny miał być skromnych rozmiarów. Jack nie miał ochoty tracić nocy na cele towarzyskie. Miał chęć jak najprędzej znaleźć się sam na sam z Lizzie.

Kiedy pastor i pilot opuścili gondolę balonu, Jack mocno objął swoją żonę.

- Wiesz co? - powiedział.

- Co?

- Pierwszy raz od bardzo, bardzo długiego czasu czuję się naprawdę szczęśliwy.

Lizzie spojrzała w dół, ku swym talizmanom. Ujęła łańcuszek, bawiąc się nim.

- Ja też jestem szczęśliwa, Jack. Ja, no i mój mały synek - podniosła oczy - który będzie miał wspaniałego tatusia.

Jack pogładziła ją po włosach, a potem położył delikatnie dłoń na jej brzuchu.

- To jest twój i mój synek, Lizzie. To będzie nasz mały chłopczyk.

EPILOG

Kołysał w ramionach małą dziewczynkę, kruchą, niewinną istotkę, niebieskooką blondyneczkę, miniaturową wersję matki. Jacka nigdy dotąd nie interesowały dzieci, lecz teraz nie mógł oderwać oczu od maleństwa. Cóż, było to jego maleństwo, również jego, tak to czuł. I mniejsza o biologiczny rodowód tej dziewczynki.

Lizzie pakowała się już do domu, domu który kupili razem w tydzień po powrocie z podróży poślubnej. Budynek był z piętorkiem, miał ogród, miał już także stróża - psa o imieniu Lucky, którego Lizzie uratowała od sieroctwa w schronisku dla zwierząt... Tak, jak kiedyś wyratowała Jacka od egzystencji pozbawionej głębszego sensu.

Podeszła teraz do męża i pogładziła śpiące maleństwo, które trzymał.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że to jest dziewczynka.
- A ja nie mogę się nadziwić, że nie wymyśliłaś dla niej jeszcze imienia.

Lizzie westchnęła.

- No właśnie. To pewnie z nadmiaru ambicji... Ale wiesz co? Mam teraz prosty pomysł.

- Niech zgadnę... Bessie!

- Nie. Hannah.

Jack się rozpromienił.

- Bardzo ci dziękuję. Moja mama byłaby zachwycona.

- A ponieważ moja mama z kolei nazywała się Caroline - ciągnęła Lizzie - może damy dziecku na drugie imię Caroline?

- Świetnie.

Lizzie skinęła głową.

- No, to dogadaliśmy się... A teraz połóż dziecko, niech śpi. Zanim mnie wypiszą z kliniki, minie trochę czasu.

- Kiedy wolałbym ją jeszcze ponosić.

Lizzie uśmiechnęła się.

- Rozpieszczasz ją od małego... Tak jak i mnie rozpieszczasz, Jack.

Pocałował ją w policzek.

- Narzekasz na to, że jestem dobry?

Przytuliła się do niego.

- Broń Boże, broń Boże... Ale gdybyś chciał być dla mnie najlepszy - podniosła oczy - to poleciałbyś ze mną, jeszcze w tym miesiącu, balonem. Prawdziwym, nie na uwięzi.

- Zabawne, że o tym wspominasz. Chodź. - Jack ruszył w stronę okna. - Coś ci pokażę.

- Pokażesz? Co takiego?

- No chodź, zobaczysz.

Westchnęła.

- Jack, ty ciągle chcesz mi coś pokazywać.

- Racja - zaśmiał się. - Gdybym ci czegoś tam nie

pokazał pewnej nocy, Hannah mogłaby się spokojnie urodzić o czasie, a nie tydzień przed terminem.

Lizzie zaśmiała się.

- Oryginalny styl współpracy przy porodzie.

Jack podał dziecko żonie i rozsunął firanki, odsłaniając widok parkingu przed szpitalem oraz głównego prezenta ślubnego, z którego wręczeniem - o ile to właściwe określenie - czekał do odpowiedniej chwili. I teraz chwila taka nadeszła, była najwyraźniej odpowiednia, jeśli sądzić po rozpromienionej twarzy Lizzie.

- Ojej, Jack! Kiedy udało ci się to wszystko przygotować?

Na parkingu, zacumowany do słupka, kołysał się balon, w tych samych barwach co tamten, stracony na oceanie. A przy gondoli, zebrana w komplecie, stała załoga Lizzie z klubu. Aeronauci spostrzegłszy, że są obserwowani, zaczęli machać rękami, a potem, charakterystycznym gestem, podnieśli kciuki do góry.

- No, zajęło to trochę czasu - odpowiedział Jack.

- Odtworzenie czasu balonu było pracochłonne, bo przecież takie rzeczy robią rzemieślnicy, nie fabryki.

- Wiem coś o tym - zgodziła się Lizzie. Potem zachichotała. - I co, będziemy się znowu bawić w Dorotkę i Ahaba?

Jack stanął za nią i objął ją w pasie. Oparła się o niego z zaufaniem.

- Kiedy Hannah trochę podrośnie, chciałabym, żeby i ona z nami latała.

- A ja nauczę ją żeglarstwa.

Lizzie skinęła głową.

- Jednak ja najpierw muszę ciebie nauczyć fruwania.
- Już mnie nauczyłaś, Liz, i bez pomocy balonu.
- Pocałował żonę w kark i objął ją mocniej. - A jeszcze coś ci powiem.

Obejrzała się, z miłością promieniejącą w spojrzeniu.

- Masz dla mnie jakąś następną niespodziankę?
- Chcę tylko coś powiedzieć... Ale coś ważnego.
- Pocałował ją delikatnie w usta, czule, jak nigdy dotąd.
- Bez względu na to, jak by się nasze sprawy potoczyły, i tak wiem, że musiałbym cię pokochać.